ECHA LEŚNE



CZASOPISMO ILUSTROWANE

№ 12 Grudzień 1931 r. ROK VIII

Cena 1 zł. gr. 40.

ECHA LEŚNE

CZASOPISMO ILUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA W WARSZAWIE, NOWY ŚWIAT 36 — 8. TELEFON 230-75

Rok VIII **Warszawa, Grudzień 1931 r.** **Nr. 12**



POKŁON TRZECH KRÓLÓW Mal. Mantegna.

WYRĘBY, JAKO MIERNIK GOSPODARKI W LASACH PRYWATNYCH

Negatywne ustosunkowanie się przedstawicieli prywatnej własności leśnej co do: a) obowiązku zatrudniania przez właścicieli lasów wykwalifikowanych leśników, b) potrzeby ochrony wykonywania zawodu leśnego, zwłaszcza przy sporządzaniu planów urządzenia gospodarstw leśnych, c) celowości istnienia instytucji ochrony lasów (Gazeta Rolnicza Nr. 17 i 24 — 1931 r.) poniekąd dowodzi, że większość właścicieli lasów nie docenia czynnika fachowego w gospodarce leśnej oraz uważa, że wszelkie ograniczenia ustawowe w zakresie gospodarki leśnej godzą w opłacalność produkcji leśnej.

Przy takiem pojmowaniu gospodarstwa leśnego, może być tylko mowa o złej lub dobrej administracji lasu, noszącej niesłusznie miano „gospodarki", bowiem racjonalna gospodarka leśna polega na unormalnieniu kapitału produkcyjnego — lasu, drogą odpowiednich zabiegów i czynności hodowlanych i utrzymaniu tego kapitału przez pobieranie tylko odsetków jego w postaci bieżącego przyrostu masy drzewnej.

Zła gospodarka leśna wzgl. administracja polegałaby na wyłącznem wyrębywaniu lub przerębywaniu drzewostanów bez ich odnowienia, które pozostawia się pracy samej przyrody, wychodząc z założenia, że jest ona najlepszym gospodarzem i nie potrzebuje współpracy człowieka nawet w tych wypadkach, kiedy tenże człowiek przez swoją niszczycielską nieumiejętną działalność zrujnował wieloletni jej dorobek — siedlisko. Za dobrą natomiast gospodarkę, uważa się taką gospodarkę, przy której niema zaległości w zalesieniach, przyczem o wielkości zalesień decyduje mniejszy lub większy popyt na surowiec drzewny, pociągający wyręby leśne.

Zarówno jedna jak i druga forma tak pojmowanej gospodarki leśnej zawiera w sobie pierwiastki eksploatacji, czyli dewastacji kapitału produkcyjnego — lasu, bowiem dobra konjunktura drzewna może spowodować kompletną rujnację tego kapitału.

Sprawozdania z działalności organów ochrony lasów, zawierające dane, w szczególności o wyrębach, odnowieniu lasów i zagospodarowaniu lasów prywatnych, dowodzą że gospodarstwo leśne przez wielu właścicieli lasów jest jeszcze w praktyce identyfikowane z administracją eksploatacji lasów.

Następstwem takiego zapatrywania na gospodarstwo leśne są: a) nadmierne dewastacyjne wyręby leśne, b) znaczne zaległości w odnowieniu lasu i powstające stąd młodniki z mniej wartościowych gatunków drzew, jak osiki, grabu, brzozy, przetkniętych obficie krzewami — chwastami, c) około 60% zupełnie nieurządzonych lasów w kraju, na obszarze zaś urządzonych lasów, znaczny odsetek tych lasów zagospodarowany jest prowizorycznie na podstawie tak zw. programów gospodarczych, których wartość techniczna jest bardzo niska.

Zaznaczyć należy, że zarówno plany gospodarstw leśnych, nazywane planami gospodarczemi, sporządzanemi z reguły na okres 10-letni i prowizoryczne urządzenia lasów pod postacią programów gospodarczych na okres kilkoletni do 5 lat, nie są normowane jakiemiś przepisami technicznemi, jak to ma miejsce przy urządzaniu lasów państwowych, a według bliżej nieokreślonych zasad urządzenia lasów. Trwałość, ciągłość użytkowania lasu, nadmienione w ustawie o ochronie lasów, są bowiem pojęciami bardzo względnemi.

Pozatem pewien odsetek owych 60% nieurządzonych lasów, w znaczeniu nieposiadania planów lub programów gospodarczych, „zagospodarowuje się" nieraz doraźnie na przeciąg bardzo krótkiego czasu, mianowicie 1 roku — na podstawie zezwolenia władz ochrony lasów o ile chodzi o użytkowanie przerębowe lasu, lub na trzy, kiedy z wyrębem lasu związane jest zalesienie (jednorazowy wyrąb przy obowiązku zalesienia w ciągu 3 lat). W tym wypadku badanie stanu gospodarczego lasu przez organy ochrony lasów odbywa się bardzo powierzchownie, w trybie uproszczonym, szacując na oko na gruncie powierzchnie drzewostanów i ich zamożność, często nawet bez wyjazdu na grunt, przy ograniczaniu się do nadesłanego przez właściciela lasu krótkiego opisu i szkicu lasu.

Stopień dewastacji lasów zagospodarowanych prowizorycznie czy to na podstawie programów gospodarczych, które ustawowo sporządza się odręcznie, bądź na podstawie doraźnych zezwoleńwładz ochrony lasów, trudny jest do określenia i może by ujawniony dopiero w szczegółowo opracowanym planie urządzenia gospodarstwa leśnego.

Jak widać z tych uwag o urządzeniu lasów sprawa zagospodarowania lasów prywatnych pozostawia bardzo wiele do życzenia i w noweli do ustawy o ochronie lasów powinna mieć należyte rozwiązanie.

Obecny stan gospodarczy lasów prywatnych, względnie jak się przedstawia powierzchniowo inwentarz drzewostanowy lasów prywatnych oraz rzeczywisty rozmiar użytkowania w powierzchni i metr. sześc. nie da się określić na podstawie sprawozdań z działalności organów ochrony lasów, które są jedynem źródłem statystycznem o lasach prywatnych. W ewidencji bowiem wyrębowej organów ochrony lasów od sześciu lat figuruje zaledwie od 1.100.000—1.500.000 ha lasów, którym udzielone zostały zezwolenia na wyręby.

Ze sprawozdań organów ochrony lasów dowiadujemy się, że w wielu urządzonych objektach leśnych, względnie zagospodarowanych w/g. planów lub programów gospodarczych, użytkowanie lasu normują nie zatwierdzone przez władze ochrony lasów plany lub programy gospodarcze, lecz władze ochrony lasów, bowiem udzielają zezwolenia na wyręby i przeręby zarówno nie objęte planem użytkowania lasu w danym okresie gospodarczym — jak i w granicach 1-no, 2-u, 5-cio i wyżej rocznego etatu użytkowania bieżącego okresu gospodarczego, przy zmianie nieraz porządku cięć i sposobu gospodarstwa.

Zaznaczyć należy, że władze ochrony ochrony lasów, jako powołane do nadzoru racjonalnej gospodarki leśnej, ustawowo bynajmniej nie są uprawnione do udzielania zezwoleń na zmiany, zwłaszcza w planie użytkowania lasu zatwierdzonego przez siebie planu urządzenia gospodarstwa leśnego.

Z danych za r. 1930 wynika, że władze ochrony lasów udzieliły w tym roku zezwoleń na wyręby zupełne (zręby czyste) w lasach urządzonych bieżącego okresu 10-letniego użytkowania, na powierzchni ogólnej 13.219.00 ha, w tem w granicach 1-rocznego etatu było 7862.15 ha, 2-letniego 1660.24 ha, 5-letniego 1239.51 ha, wyżej 5-letniego etatu 2457.10 ha (rubryki 14,15,16,17, tab. 9).

Nie wyjaśniono przytem, czy zezwolenia na użytkowanie w granicach 1-rocznego i wyżej etatu, obejmuje 1-roczny planowy etat, względnie, czy zezwolenie na użytkowanie w granicach np. 1-rocznego etatu jest dodatkowe, a tem samem podwajające etat rocznego użytkowania.

Ponieważ właściciel lasu nie jest obowiązany zawiadamiać władze ochrony lasów o przystępowaniu do wyrębu lasu, o ile posiada zatwierdzony plan gospodarczy lub program, uważać należy udzielone zezwolenia na wyręby lasu jako dodatkowe, nieprzewidziane szczegółowym planem użytkowania lasu. Ponadto zezwolono na wyręby poza planem gospodarczym (z następnego dziesięciolecia) ogółem 6409.79 ha, w lasach zaś nie posiadających planów lub programów gospodarczych 2652.37 ha. Ogółem legalne wyręby wynosiły w r. 1930 — 22.281.16 ha. Pozatem władze ochrony lasów w roku sprawozdawczym 1930 zezwoliły na przerębowe cięcia w lasach urządzonych, nie przewidziane w planach gospodarczych i w lasach nieurządzonych, przy pozyskaniu masy drzewnej w ilości 1.471.432 m.³, z czego na lasy urządzone przypadło 1.446.819 m³. Zaznaczyć należy, że zarówno wyręby zupełne, jak i cięcia przerębowe odnosiły się, zaledwie do blisko piątej części ogólnej powierzchni lasów prywatnych — 1.300.136,78 ha w 6.283 objektach (ogólna pow. lasów prywatnych w/g. stanu na 1.I-31 r. — 5.857.134,90 ha przy 323.956 objektach-majątkach leśnych).

W latach ubiegłych poczynając od roku 1925, wyręby i przeręby w lasach prywatnych ilustruje poniższa tabela, sporządzona na podstawie tablic 9 i 7 sprawozdania z działalności organów ochrony lasów.

Wyręby legalne (za zezwoleniem władz ochrony lasów).

Rok 1925.	
Ilość majątków	1.705.—
Powierzchnia ogólna lasów w ha	1.636.787.—
Wyręby zupełne w ha . .	53.731,91
Przerębowo m³	2.071.867.—
Rok 1926.	
Ilość majątków	1.580.—
Powierzchnia ogólna lasów w ha	1.413.752.—
Wyręby zupełne w ha . .	22.108,93
Przerębowo m³	1.374.791.—
Rok 1927.	
Ilość majątków	1.500.—
Powierzchnia ogólna lasów	
Przerębowo w m³ . . .	1.187.522.—
w ha	1.387.357.—
Wyręby zupełne w ha . .	25.557,62

Rok 1928.
Ilość majątków . . . . 3.080.—
Powierzchnia ogólna lasów w ha . . . . 1.378.398.—
Wyręby zupełne w ha . . 18.552,56
Przerębowo m³ . . . . 1.053.857.—

Rok 1929.
Ilość majątków . . . . 4.213.—
Powierzchnia ogólna lasów w ha . . . . . . 1.226.296.—
Wyręby zupełne w ha . . 21.145,64
Przerębowo m³ . . . . 1.386.560.—

Rok 1930.
Ilość majątków . . . . 6.283.—
Powierzchnia ogólna lasów w ha . . . . 1.300.137.—
Wyręby zupełne w ha . . 22.281,16
Przerębowo m³ . . . . 1.471.432.—

Wyręby nielegalne w r. 1925.
Wyręby zupełne w ha . . 2.624.45
Przerębowo m³ . . . . 175.786.—
Przysądzono karę zł. 58.228.19

Rok 1926.
Wyręby zupełne w ha . . 4.346.85
Przerębowo m³ . . . . 125.956.—
Przysądzono karę zł. 454.829.80

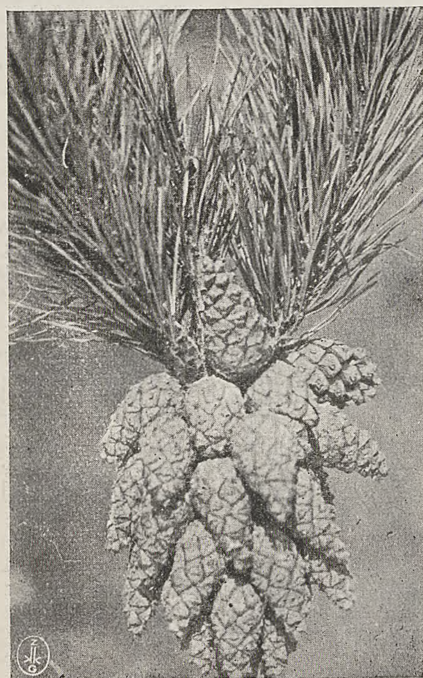
Rok 1927.
Wyręby zupełne w ha . . 3.944.50
Przerębowo m³ . . . . 113.097.—
Przysądzono karę zł 132.110.08

Rok 1928.
Wyręby zupełne w ha. . . 1.620.43
Przerębowo m³ . . . . 155.155.—
Przysądzono karę zł. 1.050.015.33 i 2352 dni aresztu.

Rok 1929.
Wyręby zupełne w ha. . . 890.41
Przerębowo m³ . . . . 99.795.—
Przysądzono karę zł. 3.266.941.66

Rok 1930.
Wyręby zupełne w ha. . 884.75
Przerębowo m³ . . . . . 217.364.—
Przysądzono karę zł. 3.751.702.08

Legalne zupełne wyręby i przeręby w lasach prywatnych na podstawie zezwoleń władz ochrony lasów oraz nielegalne wyręby i przeręby w latach 1925 — 1930 włącznie, wynosiły razem:



Fot. B. Trypucko.
Wybryk natury



Z zagospodarowanych lasów na Pomorzu Fot. K. Rzepecki.

Wyręby zupełne (zręby czyste) — 177.689.21 ha.

Z cięć przerębowych — 9.433.382 m.³.

Podział tej powierzchni i masy jest następujący: w lasach posiadających plany gospodarcze władze ochrony lasów zezwoliły na wyręby nieprzewidziane planem użytkowania w poszczególnych latach: — w r. 1925 na powierzchni — 18.760 ha; w r. 1926 — 2.564,85 ha; w r. 1927 — 3.044,86 ha; w r. 1928 — 6.463,73 ha; w r. 1929 — 6.358,97 ha; w r. 1930 — 6409.79 ha.

Pozostała powierzchnia wyrębów 134.087.01 ha, obejmuje powierzchnie wyrębów w lasach urządzonych (w granicach planu gospod.) i nieurządzonych, legalnych i nielegalnych, przyczem nielegalne wyręby wyniosły ogółem w tym okresie 14.311,39 ha, z cięć przerębowych — 887.153 m.³.

Rzeczywiste roczne użytkowanie wzgl. wyręby i przeręby w tym okresie jest znacznie wyższe jeśli zważy się, że dane te odnoszą się zaledwie do 4 — 5 części ogólnego obszaru lasów prywatnych. Trudno bowiem przypuścić, żeby na pozostałym obszarze zgórą 4 miljony ha, nie było użytkowania! Rozmiar tego użytkowania jak wyżej podałem trudny jest do ustalenia.

Na tle przyrostu rocznego lasów prywatnych, szacowanego przez Minist. Robót Publ. do wymiaru daniny leśnej na blisko 9 miljonów m.³ (przy uwzględnieniu mniejszej własności leśnej do 50 ha, na około 11 milj. m.³), dotychczasowy rozmiar użytkowania wybitnie dewastuje kapitał produkcyjny prywatnej własności leśnej. Uwydatnia się ta dewastacja nawet na przybliżonem następującem wyliczeniu: W r. 1930 pobrano masy drzewnej z obszaru 1.300.137 ha ogółem 5.037.232 m.³ (22.281.16 ha, $\times$ 170 $=$ 3.787.797 $+$ 1.471.432 m.³; (170 m.³ zapas masy drzewnej na 1 ha w/g. szacunku Komisji ankietowej do wymiaru daniny leśnej), natomiast proporcjonalny przyrost dla tego obszaru wynosił okrągło 2½ milj. m.³!

Stosunek ten nie korzystniej przedstawia się po uwzględnieniu pobranych użytków drzewnych, przewidzianych planem gospodarczym. Cyfrowe przedsta-

wienie planowego użytkowania lasu na tym obszarze wobec braku danych, nie da się nawet zgrubsza przeprowadzić.

Przy obecnym stanie statystyki lasów prywatnych niemożliwością byłoby w przybliżeniu określić roczny przyrost w lasach prywatnych, rozmiaru użytkowania i stanu gospodarczego tych lasów.

Zamiast sprawozdań z działalności nieustawowej, za jaką poczytywać należy udzielanie zezwoleń na wyręby dodatkowe w poszczególnych latach, w ramach planu lub programu użytkowania lub poza planem, dezorganizujących gospodarkę racjonalną, nakreśloną zatwierdzonym planem gospodarczym, w szeregu tablicach należało przedstawić rozmiar użytkowania i stan gospodarczy tych lasów, w szczególności:

a) Powierzchnie rzeczywistego rocznego użytkowania w lasach urządzonych, na podstawie planów i programów gospodarczych oddzielnie, dla lasów zaś nieurządzonych — na podstawie orzeczeń władz ochrony lasów.

b) Powierzchnie wyrębów, spowodowanych wyjątkowemi okolicznościami w lasach urządzonych i nieurządzonych (względy strategiczne, klęski żywiołowe i t. p.).

c) Powierzchnie drzewostanów w klasach wieku dla lasów urządzonych na podstawie planów i programów i nieurządzonych, dla mniejszej i większej własności leśnej, ewent. w granicach ściślejszego podziału własności, z uwzględnieniem gatunków drzew (drzewostany iglaste, liściaste), względnie gospodarstw (gospodarstwa sosnowe, świerkowe, dębowe, brzozowe etc.).

Dane wyżej wymienione byłyby niezmiernie cennym materjałem statystycznym dla celów propagandowych leśnictwa. W zależności od stanu gospodarczego tych lasów kształtowałaby się niewątpliwie polityka leśna państwa.

Zebranie tych danych nie sprawi dużo trudności organom ochrony lasów, które do tych czynności z urzędu są powołane, należałoby tylko odpowiednio zorganizować służbę informacyjno-leśną powołując do niej urzędy gminne i administrację lasów państwowych. Personel bowiem urzędów ochrony lasów jest za szczupły, aby corocznie mógł przedstawiać te dane, zaczerpnięte bezpośrednio na gruncie. (Ze 130 blisko komisarzy i podkomisarzy ochrony lasów na 1.X-31 r. po redukcji zostało około 80 na ca 6 milj. ha i 323.596 objektów).

Nieustawowa działalność władz ochrony lasów w zakresie udzielania zezwoleń na wyręby i przeręby w rozmiarze wyżej podanym, przypuszczać należy, że słabnąć będzie z każdym rokiem, z powodu zbyt szczupłego zapasu lub poprostu braku drzewostanów, kwalifikującyhh się do wyrębu. Obecne tempo udzielania zezwoleń na wyręby dodatkowe przez władze ochrony lasów jest tak wielkie, że do takiego stanu niedługo się dojdzie. Jak reagują władze ochrony lasów na bezplanowe wyręby i przeręby posłużyć mogą dane z r. 1930, a mianowicie — wpłynęło zgłoszeń na wyręby na 28.122,36 ha, udzielono natomiast zezwoleń na wyręby 22.281.16 ha. Wobec takiego ustosunkowania się władz ochrony lasów do użytkowania lasów prywatnych, czyż nie lepiej byłoby zgóry zezwolić właścicielom lasów na swobodne dysponowanie etatami użytkowania w granicach 1—10 lat? Jeżeli zaś względy na ochronę lasów w szerszem znaczeniu i na gospodarkę drzewną kraju nie zezwalają na takie załatwienie sprawy, należałoby ściśle przestrzegać postanowień ustawy, normujących gospodarkę w lasach prywatnych.

W noweli do ustawy o ochronie lasów niepaństwowych, która jest właściwie ustawą o nadzorze racjonalnej gospodarki w tych lasach, stosunek władz ochrony lasów do kwestji wyrębów w lasach nieurządzonych i urządzonych, powinien być tem więcej uregulowany, że władzami ochrony lasów są władze administracyjne I i IIinstancji — starosta i wojewoda. Leśnicy we wszystkich instancjach, nie wyłączając najwyższej instancji — Ministerstwa, są referentami. Wpływ przeto ich na racjonalny kierunek polityki leśnej jest ograniczony i niefachowe czynniki decydujące przekreślają nieraz najbardziej celowe opinje i reformy w leśnictwie. (Postulaty Zw. Zaw. Leśn.).

W praktyce organy ochrony lasów dowolnie interpretują pojęcia trwałości i ciągłości użytkowania, identyfikując raz z równomiernością, innym zaś razem, udzielając zezwolenia na wyręby kilku etatów lub użytkowanie bez planu wzgl. poza planem, nazywają to również ciągłością użytkowania z przerwami. Wywołuje to słuszne narzekania na biurokratyzm, nieliberalne traktowanie właścicieli lasów i w tych warunkach zupełną zbędność istnienia instytucji ochrony lasów.

Zgadzając się najzupełniej, że racjonalna gospodarka leśna bynajmniej nie polega na równomiernym poborze użytków drzewnych i w granicach możliwości winna dostosowywać się do konjunktury drzewnej, aby stać się bardziej opłacalną, dopuszczalne może być dysponowanie nierównemi etatami użytkowania w ramach zatwierdzonego planu gospodarczego (o ile chodzi o wybór tego lub innego etatu rocz. użytkowania w danym roku), co przyczyniłoby się w dużym stopniu do podniesienia rentowności gospodarstwa leśnego i usunęłoby dotychczasowy biurokratyczny tryb postępowania władz ochrony lasów, hamujący rozwój prywatnej gospodarki leśnej. Nierówność użytkowania lasu wzgl. w pobieraniu ilościowem i jakościowem użytków drzewnych w poszczególnych latach tem więcej jest uzasadniona, że właściciel lasu niewyzyskane cięcia (etaty) może wyrąbać jednorazowo i w ten sposób zachwiać równowagę w użytkowaniu lasu.

Pewne ograniczenia w rozmiarze użytkowania w poszczególnych latach, z uwagi na miejscowe zapotrzebowanie surowca drzewnego, politykę wywozową państwa, politykę socjalną należałoby utrzymać. Różnice w etatach rocznego użytkowania, jakie mógłby ustalać plan gospodarczy, nie powinny jednak przekraczać połowy wysokości jednorocznego przeciętnego z 10 lat użytkowania bieżącego okresu gospodarczego. Wysokość jednorocznego użytkowania przy tym stanie, winna być utrzymana na pewnym poziomie np. nie przekraczać $^3/_4$ przeciętnego rocznego etatu.

Pozwoli to na wyzyskanie pomyślnie kształtującej się konjunktury drzewnej, na dokonanie szeregu inwestycji leśnych, utrzymanie fachowej administracji i uczyni gospodarstwo leśne bardziej opłacalne.

Użytkowanie główne, dodatkowe w poszczególnych latach (wyręby zupełne, cięcia przerębowe), nieprzewidziane planem gospodarczym (za wyjątkiem regulacji serwitutów, klęsk żywiołowych etc.), lub w lasach nieurządzonych z reguły powinno być wykluczone i ustawowo zabronione.

Zezwolenia na wyręby lub przeręby tego rodzaju wpływają bowiem demoralizująco zarówno na właścicieli lasów, jak i na władze, udzielające tych zezwoleń.

Dla lasów nieurządzonych udzielenie zezwoleń na użytkowanie jednorazowe możeby nieraz było życiowo uzasadnionem, jednak jeśli się zważy, jak niski odsetek stanowią koszta sporządzenia planu urządzenia gospodarstwa leśnego od wartości etatu rocznego użytkowania i jak ważnym jest plan gospodarczy lasów dla organów ochrony lasów, i dla właściciela lasu to przyjdziemy do przekonania, że plan taki jest niezbędnym.

Zastąpienie planu gospodarczego jakimś odręcznym jak dotychczas szkicem lasu z programem gospodarki, a właściwie eksploatacji, w noweli do ustawy o ochronie racjonalnej gospodarki leśnej nie powinno mieć miejsca. Zarówno mniejszą jak i większą własność leśną obowiązywać winien w imię ochrony lasu, nie żaden program, który w określeniu ustawowem ma charakter prowizoryczny, niedopuszczalny w gospodarstwie leśnem, lecz plan urządzenia gospodarstwa leśnego, który zawierać winien trwałe podstawy urządzenia lasu. Unormowanie techniki urządzenia lasów prywatnych w drodze wydania ramowej instrukcji jest niezmiernie pożądane i usunęłoby dowolność interpretowania ogólnikowych przepisów ustawowych.

Objektywna ocena wyrębów w lasach prywatnych na podstawie sprawozdań z działalności organów ochrony lasów, jak widać z powyższych rozważań nasuwa przekonanie, że poza wolą większości właścicieli lasów nadmiernego użytkowania lasów, znajdująca swe źródło niewątpliwie w uchwale sejmowej z 20 roku o wywłaszczeniu prywatnych właścicieli lasów obszarów powyżej 50 ha, dewastację lasów prywatnych w zbyt częstych wypadkach pogłębiają zezwolenia władz ochrony lasów na dodatkowe wyręby i przeręby lasu oraz niewłaściwe ustosunkowanie się do urządzenia lasów prywatnych i ochrony racjonalnej gospodarki leśnej. Odbudowa zniszczonych warsztatów produkcji leśnej i należyte ich prosperowanie wymaga zdecydowanej i planowej polityki państwa.

Popieranie jaknajenergiczniej postulatów sfer zawodowych w kwestji ochrony wykonywania zawodu leśnego i zobowiązanie właścicieli lasów do poddania gospodarki leśnej fachowemu kierownictwu, poza przestrzeganiem wykonania planów gospodarczych przez właścicieli lasów, jest przeto moralnym obowiązkiem organów ochrony lasów, które stoją na straży bytu i pomyślnego rozwoju prywatnej gospodarki leśnej.

Inż. Bolesław Nowacki

LASY I LEŚNICTWO ZAGRANICĄ

Począwszy od zeszytu lipcowego, Redakcja wprowadziła stałą rubrykę p. t. „Lasy i leśnictwo zagranicą". Zaznajamiając zainteresowane sfery leśne i społeczeństwo polskie ze stanem lasów i spraw leśnych zagranicą, Redakcja pragnie przyczynić się w tej drodze do tem większego spopularyzowania lasu i zagadnień leśnych w Polsce. *REDAKCJA*

STOSUNKI LEŚNE I LEŚNICTWO KANADY

(C. d.)

Typ światłożądnych liściastych. Osika i biała brzoza zajmują duże powierzchnie, tworząc drzewostany na siedliskach zniszczonych przez pożary, przeważnie typu przejściowego. Pod ich okapem odnawiają się gatunki drzew, które w końcu opanują utracone siedlisko.

Pas przejściowy. (Transition belt). Pomiędzy półn. granicą lasów liściastych cienistych i wyżyną oddzielającą drenażowe obszary zatoki St. Lawrance i Hudsońskiej, łącznie z drenażowym obszarem Lake of the woods w zachodnim Ontario, znajduje się pas, w którym przeważają iglaste drzewostany, typowe dla pasa mieszanych lasów liściasto - iglastych (biała sosna, czerwona sosna, biały świerk i balsamiczna jodła). Brak tu jest cienistych liściastych: jaworu, żółtej brzozy etc. Sosna banka i światłożądne liściaste (osika i biała brzoza) są pospolitemi gatunkami na starych pożarzyskach, natomiast czarny świerk i modrzew (L. laricina) zajmują bagna (swamps). Pas ten położony jest w obrębie Canadian Shield, a konfiguracja jest bardzo podobna do okolic położonych na południu. Gruntów nadających się pod uprawę rolną jest tu stosunkowo mało. Klimat tu jest bardziej surowy, przeciętna temperatura waha się od 35—40° F., a opady 570—750 mm. rocznie.

Pas lasu północnego. W obrębie drenażu zatoki Hudsońskiej lasy upodabniają się do typu lasów rejonu Wielkich Równin. Jakkolwiek biała sosna i czerwona występują jeszcze na północy, nie przedstawiają one wartości z punktu widzenia handlowego. Czarny świerk staje się pospolitszym na glebach słabo zdrenowanych, których są tu znaczne ich obszary. Sosna banka bardzo licznie występuje na wyższych i suchszych siedliskach, a typ osikowo-brzozowv bardzo jest rozpowszechniony. Skały dokambryjskiej formacji stanowią podłoże tego pasa. Kilka znacznych obszarów o glebie gliniastej znajduje się w tym pasie już pod uprawą rolną. Większa część tego pasa jest jednak jeszcze pod lasem i prawdopodobnie las przeważną część tego obszaru będzie zajmował w przyszłości. Klimat jest tu więcej surowym, przyrost drzew słabszy, niż na południu wyżyny.

Pas podarktyczny. Na południe od Hudsońskiej zatoki na przestrzeni około 100 mil ang. ciągną się lasy typu podarktycznego, zajmując lepiej zdrenowane siedliska wzdłuż rzek chociaż klimat jest surowy. Brak dostatecznego odpływu wód jest główną przyczyną niepowstawania lasu.

AKCJA ZALESIENIOWA W ST. N.-YORK

(Dokończenie)

Zainteresowanie tego rodzaju akcją rządową wzrasta i obecnie w stanie istnieje już 386 lasów komunalnych (community forests) na założenie których zapotrzebowano ogółem 31.000.000 szt. sadzonek. W Europie idea lasów komunalnych oddawna jest znana i zrealizowana; niektóre zarządy miejskie dzięki dochodom, pozyskanym z gospodarstwa leśnego, mogły zaniechać podwyższenia opłat podatkowych a nawet niektóre skasować. Pomimo znacznego postępu w zalesieniach i produkcji około 25.000.000 szt. sadzonek rocznie przez rozsadniki stanowe, statystyka w r. 1926 wykazuje około 1.600.000 ha niedawno porzuconych farmerskich gruntów. Na zalesieniu tak olbrzymiej powierzchni przy obecnym tempie prac zalesieniowych potrzeba jest prawie 200 lat. Zważyć trzeba jeszcze i to, że takich gruntów przybywa. Z górą 250.000 ha rocznie.

Celem wyjścia z tej sytuacji uchwalono ustawę, upoważniającą rząd do sfinansowania wielkiego planu zalesienia, a dla wykonania tego planu powołano wiosną 1928 r. komisję zalesieniową. (Reforestation Commission) która po roku studjów podjęła już prace zalesieniowe. Dwa rozporządzenia do tej ustawy (laws) były wydane: jedne rozporządzenie upoważniało rząd stanowy (state) do udzielania powiatom (counties) pomocy w akcji zalesieniowej, następne zaś rozporządzenie nadawało rządowi stanowemu za pośrednictwem Departamentu konserwacji (dóbr i lasów)



Drzewostan daglezjowy w Ameryce



W lesie wpobliżu wsi Odry koło Czerska Pomorskiego znajduje się starożytna gwiaździarnia

prawo nabywania porzuconych gruntów farmowych, w celu ich zalesienia.

Rozporządzenie pierwsze, dotyczące powiatowej akcji zalesieniowej, upoważnia zarządy powiatowe (counties) do nabywania gruntów, w celu ich zalesienia jak również zalesiania innych gruntów, będących własnością powiatu (county owned lands). Pozatem w rozporządzeniu mówi się, że rząd (state) udziela subwencji na zalesienia, prowadzone przez powiaty, do wysokości 5.000 dolarów rocznie. Np. jeśli powiat asygnuje 5.000 dol. to rząd (state) może wyłożyć również 5.000 dol. ogółem zatem suma przeznaczona na zalesienie wyniesie razem 10.000 dol. Na mocy tego rozporządzenia dwadzieścia powiatów (counties) wstawiło do budżetu kwotę 67.556 dol. w r. 1929 na akcję zalesieniową w r. 1930; do tego doszło jeszcze 48.832 dol. z subwencji rządowej. Kwoty te zużyto głównie na robociznę i kupno gruntów, materjał sadzonkowy bowiem rząd udzielił bezpłatnie.

Z liczby dwudziestu powiatów biorących udział w akcji zalesieniowej, w 17 powiatach wysadzono łącznie 4.772.000 szt. sadzonek. Podczas ubiegłego roku dwadzieścia dwa powiaty wydały łącznie 67.900 dol. i otrzymają prawdopodobnie subwencję rządową w kwocie 48.700 dol. Różnica kwot asygnowanych przez rząd i powiaty pochodzi stąd, że powiaty znacznie więcej asygnowały, natomiast rząd asygnował normalną kwotę ustawowo przewidzianą. Komisja zalesieniowa wypowiedziała się za nabywaniem przez rząd (state) większych obszarów gruntów pod kulturę leśną, natomiast mniejsze kompleksy nadają się dla powiatów. Uznano również za niezbędne skoordynowanie akcji zalesieniowej rządowej i powiatowej oraz uzgodnienie polityki cen na grunta pod kulturę leśną.

Drugie rozporządzenie z r. 1929, dotyczące rządowej akcji zalesienia, upoważnia Departament konserwacji do nabywania pod kulturę leśną gruntów na całym terytorjum stanu poza powiatami Catskill i Adirondacks z rezerwami leśnemi oraz utrzymywaniu rozsadników dla produkcji niezbędnego materjału sadzonkowego. W rozporządzeniu jest wzmianka, że jeden obszar zalesieniowy, zawierać powinien przynajmniej 200 ha. Kwota przeznaczona na uruchomienie robót określa się na 120.000 dol. W grudniu 1929 r. Depart. konserwacji zalecił i Komisja aprobowała plan definitywny łącznie z zestawieniem rocznych kwot, niezbędnych na zakupienie i zalesienie 400.000 ha w okresie 15 lat na ogólną sumę 20.000.000 dolarów.

W roku 1930, zgodnie z planem wyasygnowano 400.000 dol. wyrozchodowując tę kwotę całkowicie. Plan ten przewidywał nabycie 16 tysięcy hektarów gruntu pod zalesienie do końca 1930 r. Kwotę tę podwyższono, gdyż grunta nabyte i zakontraktowane objęły powierzchnię 18 tys. ha, składającą się z 52 oddzielnych parceli (areas) położonych w 13-tu powiatach. Za 1 ha płacono 9,3 dol. (około 84 zł.). Obszar podlegający zalesieniu według planu wynosi 4.000 ha, zalesiono jednak do końca 1930 roku tylko 2164 ha z powodu formalności przy sporządzaniu aktów nabycia gruntów. Różnicę tę uzupełni się niewątpliwie w bieżącym roku (1931). Produkcja pięciu istniejących rozsadników leśnych wzrosła znacznie i liczba tych rozsadników powiększona zostanie do 10 w najbliższych pięciu latach. Równocześnie prowadzone są doświadczenia, mające na celu ulepszenie techniki zalesiania i produkcji sadzonek pod względem jakości i kosztów produkcji. W roku bież zgłosiła Komisja zalesieniową nowelę do ustawy o zalesieniach, która przewiduje włączenie do programu zalesieniowego pozostałych 16 powiatów i uchwalenie odpowiednich kredytów na kontynuowanie akcji zalesieniowej. Przez włączenie tych powiatów do programu zalesieniowego, około 25% nieużytecznych gruntów stanu N.-J. przybędzie do zalesienia.

Z opinją publiczną niewątpliwie i tym razem ciała uchwalające będą musiały się liczyć, gdyż dobroczynny wpływ lasów na stosunki klimatyczne i gospodarcze kraju dał się poważnie już odczuć ludności.

Inż. Bolen



12 kamieni gwiaździarni na Pomorzu, świadczące o zadziwiającej wiedzy astronomicznej przedhistorycznych przodków naszych, którzy ją zbudowali

TWÓRZMY LASY PODMIEJSKIE

W numerze sierpniowym „Ech Leśnych" pisałem o potrzebie udostępnienia lasów podmiejskich mieszkańcom Warszawy, a przedewszystkiem dzieciom.

Rzecz prosta, że ten sam problem narzuca się i w odniesieniu do innych miast i im dane miasto będzie ludniejsze, tem znaczenie lasów podmiejskich ma dla niego większą wagę.

Dziś chciałbym poruszyć zagadnienie pokrewne, może dalej idące, bo potrzebę i projekt zakładania lasów przez związki samorządowe.

Słyszę już pierwszy zarzut — projekt nierealny. Jakto, w czasach takiego kryzysu ekonomicznego, że wszystko ledwo zipie, a myśli się tylko o tem — jak przeżyć? — rzucać projekt zakładania nowych lasów przez miasto? Nowych inwestycyj? Warszawa obniża pensje urzędnikom, ogranicza wydatki na szkoły, półkolonje letnie, zamyka teatry, biblioteki publiczne, gasi lampy na ulicach i naraz... niech zakłada lasy!

A jednak tak — projektujmy zakładanie lasów przez miasta i inne związki samorządowe!

Czyż ciągle mamy tylko biadać nad nieszczęściami świata? Czyż dlatego, że dziś nam ciężko, nie mamy myśleć o pracy twórczej? Czyż wiecznie będziemy tkwić po uszy w kryzysie? Czyż z punktu przyszłości społeczno-państwowej wolno nam zamykać oczy na potrzeby dnia jutrzejszego? Czy zagadnienie braku lasów podmiejskich, jako rezerwoarów powietrza dla miast, bądź jako przyszłych terenów dla miast — lasów nie będzie bardziej piekące im dalej w czas? Czyż wreszcie między przyjęciem się projektu w łonach zbiorowych instytucji społecznych a wykonaniem nie upływa zazwyczaj bardzo, bardzo dużo czasu? — A więc już dziś propagujmy zakładanie lasów przez związki samorządowe, a przedewszystkiem przez miasta.

Brakiem przestrzeni pod nowe lasy wymawiać się nie możemy. Polska posiada terenowo 7 do 8% nieużytków, to znaczy około 3 — $3^1/_2$ miljona hektarów, a z tego niemały procent znajduje się w pobliżu miast. Nieużytki, które bierzemy pod uwagę, będą dwóch zasadniczych typów — piaski i błota. Między niemi jest szereg szczebli przejściowych, o wartości półużytkowej. Olbrzymia ta ilość nieużytków jest do tej pory dla społecznego gospodarstwa bez wartości, a dla właścicieli tylko ciężarem. Zamiana ich na grunta użytkowe, na las, będzie olbrzymiem powiększeniem i majątku i przyszłego dochodu społecznego.

Rozległe przestrzenie moczarów Polesia, którego osuszanie zapoczątkowano, będą zamienione na różnego typu użytki.

Lecz nieużytki porozrzucane wszędzie po kraju, a zwłaszcza w bliskości miast powinny być wyłącznie zamieniane na użytki leśne. Zresztą te pustkowia powstały najczęściej po wyciętych ongiś borach, bez ich odnowienia, a więc — będzie to tylko powrót lasu na wydartą mu siedzibę.

Przewłaszczenie takich nieużytków na rzecz związków samorządowych mogłoby być dokonane w drodze ustawy, dającej najprzód jakiś termin zalesienia obecnemu właścicielowi, a po tym terminie wywłaszczającej go z tych terenów na rzecz samorządów. Odszkodowanie ujęte ustawowo byłoby płacone listami zastawnemi poszczególnych miast bądź związków samorządowych.

A w jaki sposób miasta dałyby sobie radę z zalesieniem?

Do początkowych prac przygotowawczych terenów, naprzykład osuszenia, możnaby użyć bezrobotnych, czy zatrudniając ich jako zwykłych robotników, czy żądając od nich odrobienia za otrzymane wsparcie. Sprawa bowiem wspierania bezrobotnych bez żadnego ekwiwalentu pracy z ich strony z dnia na dzień budzi coraz więcej zastrzeżeń dla różnorakich powodów. Ale nie o tem tutaj mam pisać.

Zresztą chodzi nam tu tylko o pracę zgrubsza przygotowawczą przestrzeni pod odnowienie lasu, bo samo zalesienie, uważam, że źleby na tem wyszło. Wszak pamiętamy „roboty publiczne". Do pracy przy odnowieniu lasu trzebaby użyć kogoś bardziej chętnego i życzliwego.

To też dlatego zalesienie powierzyłbym szkołom. Naturalnie pod fachowem kierownictwem wykwalifikowanych leśników. Mamy już tak zwane „święto obsadzania dróg" — czyż nie możnaby wprowadzić „świąt sadzenia lasu"?

Miałoby to wiele stron dodatnich. Tak dla miast i uczni, jak wreszcie i dla samego lasu. Miasto, pozyskując tereny cenne w przyszłości, miałoby wykonaną pracę w dużej mierze bezpłatnie (koszty: kierownictwo, narzędzia, sadzonki, przewóz młodzieży i t. p.). Sadzenie, czy sianie lasu, traktowane jako uroczystość społeczno szkolna wykonane byłoby napewno pieczołowicie, coby można spotęgować przez podzielenie zalesianej przestrzeni na części z przydziałem ich poszczególnym szkołom czy klasom. Wywołałoby to bowiem szlachetną rywalizację przy wykonaniu zalesienia. Dzieci czy młodzież, tworząca nowy las, nauczyłaby się ten las kochać i szanować i ten nawrót do umiłowania natury, przy dzisiejszej pogoni li tylko za kinem, boksem i piłką nożną, ze wszech miar dzieciom miejskim dobrze zrobi.

Jest to może też najlepsza droga, dziś prawie nie do pomyślenia, by las podmiejski stał się wypielęgnowanym dziecięciem miasta.

Przykład miast i miejskich szkół pociągnąłby i inne jednostki samorządowe i pozostałe szkoły.

Dla leśników byłoby to nowe pole do pracy — objęliby rolę instruktorów leśnych przy związkach samorządowych, nie mówiąc o przyszłych gospodarzach nowopowstałych rewirów leśnych. Mając inteligentnych i życzliwych pracowników z dzieci i młodzieży szkolnej, możnaby tworzyć lasy bardziej bogate w rozmaitość gatunków drzew przez jaknaj-

szersze wyzyskanie możliwości podglebia. Miejscami mogłyby powstać lasy — ogrody botaniczne.

Rzucam luźny projekt, może go ktoś podejmie i opracuje szczegółowiej, bo dobrzeby było, by, zamiast miljonów ha nieużytków, szumiały na ich miejscu gęste lasy stworzone przez szkoły na użytek społeczności.

Jan Milewski



Dmuchawiec

PIĘKNO FORM ROŚLINNYCH

Jak w linji rozwoju architektury rozróżniamy poszczególne etapy, przejście od form prostych, ozdób nieskomplikowanych, od bryły, imponującej rozmiarem, gigantycznym wykonania rozmachem, wymagającej do jej dźwignięcia potęgi mitycznych cyklopów, aż do form, ucieleśniających subtelne odcienie artystycznego ujęcia, — podobnie w królestwie roślinnem zauważyć się daje rozwój linji i kształtu. W świecie bowiem roślinnym, budową do form architektonicznych zbliżonym, widzimy też same przejścia od klasycznej prostoty poprzez gotyk strzelisty, baroka soczystą zawiłość — do najwyszukańszego rokoka.

I nie dziw: od najdawniejszych czasów myśl twórcza ludzkości — przy stwarzaniu nowych koncepcji dzieł sztuki — pełną dłonią czerpała z wzorów przyrody, z form roślinnych samorodnego bogactwa. Już w V wieku przed Nar. Chrystusa Grek Kallimachos do kompozycji swoich budowli wniósł kapitel kolumny, wzorowany na liściach akantu. A dalej — coraz częściej w zdobnictwie napotykamy motywy roślinne: oryginalne linearno-arabeskowe dekoracje w architekturze muzułmańskiej odgrywają rolę pierwszorzędną i wyciskają na niej odrębne piętno wschodu; również potężnie świat roślin zaważył na formach i zdobnictwie baroka. I dzisiaj — w architektonicznych pomysłach, jak i w sztuce stosowanej, zdobniczej wpływ tego pierwowzoru przyrody zaznacza się niekiedy wyraźnie i mocno.



Czworolist (Paris quadrifolia)

Jeśli ten wpływ świata roślinnego jest tak doniosłym w budownictwie — w tej najstarszej ze sztuk plastycznych; jeśli i w innych dziedzinach sztuk pięknych potężnem odbija się echem, widać, że w państwie roślinnem znajdywać się muszą pierwszorzędne artystyczne walory.

I tak jest w istocie.

Nietylko barwą kwiecia, lecz poszczególnych swych części układem rośliny przemawiają do twórczej wyobraźni. Oto maleńki kwiat piżmaczka (Adoxa moschatellina): jakże dziwną jednak posiada strukturę. Na drobnej łodydze pięć nikłych kielichów się mieści, osadzonych w niepojętej symetrji. Boczne tworzą prawidłowy czworobok, górny kielich — kwiatu figurę jakby w sześcian zamyka.

Dalej czworolist (Paris quadrifolia): cztery dość wielkie liście — w symetrycznym zawieszone układzie; z pośród nich kwiat samotny— barwy zielonej — wieńczy ten twór klasycznej zaiste prostoty.

Ostrożeń — ostem pospolicie zwany — do form gotyku nas zbliża. Ostre, wydłużone liście, jak groty strzał, wyginają się lekko od smukłej łodygi. Mnóstwo nacięć, zazębień — a całość — niczem dzieło wielkiego natchnienia. I jeżeli piękno formy roślinnej mieć będziemy na względzie, kto wie, czy z pośród flory krajowej — ten pospolity oset kolący właśnie na pierwszem miejscu uwzględnić nam nie wypadnie. Tylko życia powszedniego szarzyzna nie pozwala nam patrzeć na niego oczyma estety.

Również kształtną posiada budowę znany powszechnie skrzyp leśny (Equisetum) — o delikatnej, kruchej strukturze, lecz skończenie harmonijny w swych okółków i gałązek wiązaniu.

Śród najpospolitszych ziół naszych, o ile bacznem okiem zechcemy spoglądać i doszukiwać się w nich piękna przebiegu linji i formy, znajdziemy to piękno na każdym niemal kroku. Rozsianem jest ono wszędzie — na polach, miedzach, nad wodą, w lasach cienistych. Białe zawilce (Anemone), siódmaczki leśne (Trientalis), szczawiki (Oxalis), dzwonki, goździki — wyszukane formy, piękne w symetrji, w prostocie.

A cóż dopiero mówić o kwiatach niesymetrycznej budowy?

Precyzyjne kielicha kwiatu wygięcie tworzy cudną dla nektaru amforę, dzban o linjach klasycznych. Zawitek młodocianej paproci lub jej liść rozwinięty, dojrzały, pierzastonacięty — wspaniałym wachlarzem rozpościera się w leśnej gęstwinie.

A liść dębu lub klonu? A pień drzewny — świątyń greckich wysmukła kolumna?

Od spodu leśnej gęstwiny, od podszycia — do wierzchołków — w każdej kondygnacji tego olbrzymiego roślinnego zbiorowiska — odnajdujemy coraz inne estetyczne wartości. W drobnem kwieciu podziwiamy rozmieszczenie płatków i liści, koronkowo - misterne blaszek nacię-

cie, wysmukłość linji i kształtu fantazyjne bogactwo.

I jak pomniki budownictwa przemawiają do naszej wyobraźni—jedne prostotą, inne łagodną falistością lub strzelistym ku niebu polotem, wytwarzając w naszej jaźni pewne nastroje, określone nastawienie odczucia piękna, również językiem cichym, jednakże wyraźnym, przemawia do nas szata roślinna. Piękno bowiem nie przejawia się li tylko w zewnętrznym wyrazie, lecz w tem zabarwieniu uroku, w tym częstokroć nieuchwytnym podziwie ludzkiej duszy dla tworów, w piękno ujętych i w swem pięknie skończonych.

Współczesność doby ostatniej — parta w kierunku amerykańskiego bussinesu — stwarza blok prosty i gładki, bez wyrazu, bez uczucia. W tym rozmachu tworzenia, w architekturze wielkiej, a prostej tkwi tętno doby obecnej. Jednolitego stylu jednakże architektura dzisiejsza — w żelazo i beton ujęta — nie tworzy. Do rozumu praktycznego przemawia, lecz nie do serca. Brak jej tchnienia ożywczego, jakie płynie z przyrody. Jest ona jakoby oderwaniem myśli od serdecznego podłoża, płodem martwym techniki, abstrakcją, puszczoną w tryby wielkiego przemysłu.

I ten pęd współczesności załamać się musi — w nawrocie do źródeł prawiecznych.

Dzisiaj pobieżnie oko nasze się ślizga po arcydziełach przyrody. Nie staje nam czasu, by spojrzeć i dojrzeć ten ogrom piękna linji i kształtu, zawarty w świecie roślinnym.

Przyroda jednakże musi zwyciężyć. I jej odbicie musi znowu zaważyć w kulturalnych przejawach ducha ludzkiego. Dłoń i natchnienie artysty do tego skarbca znów sięgnie, by rzucić motyw roślinny w utworach sztuki, w dziełach zdobnictwa, rzeźby, architektury.

I nadaremnie — w życiu codziennem, dzisiejszem — niedostrzeżone te pierwowzory czystego piękna depczemy nogą.

R. Kinle

SPOTKANIE

Jak cienie przeszli obok siebie, bez słowa...
Dziwny sen,
Dziwna bajka tęczowa,
Drwiący uśmiech, półsmutne spojrzenie...
Jakaś róża nierozwita, biała
Upadła ścięta,
Jakaś struna trącona zadrżała,
Struna pęknięta.

Obcy byli sobie wśród ludzi tysięcy,
Los w przelocie, na chwilę, połączył ich drogę.
Chwila minie i pewno nie ujrzą się więcej... —
Zgasło słońce, nim w złotą rozbłysło pożogę.

Nie powiedzieli sobie nic.
Może pierś ich była wystygła i pusta,
Skrzepła, jak kwietny pąk w śniegowej bieli?
A może tylko milczały ich usta,
Może o tem, że mówićby mogli, nawet nie wiedzieli?

W przeznaczeń dali
Niewcielonych marzeń umarła pieśń echowa.
Jak cienie przeszli obok siebie bez słowa
I przepadli w wieczyste milczenie,
Jak cienie.

Halina Bronikowska-Smolarska

KRÓL I POETA

Więzienie. Płonie w mroku jedyna pochodnia...
Błędny rycerz w koronie, krzyżowiec Lwie-Serce,
Śni po nocach o sercu jedynem przechodnia,
Które kiedyś pozyskał — i marzy w rozterce.

. . . .

Pielgrzym przemierza drogi i błądzi po górach, — —
W piersi dźwiga tęsknotę i miłość namiętną,
Po instrumencie pieśni znać w nim trubadura,
Miecz przy boku, na twarzy ból wyrył swe piętno!

Padł pod wieżę znużony, gdy śpiew z poza kraty
Ocucił go, krew rozgrzał uczuciem błogości, —
I Blondel znów odzyskał swój skarb przebogaty,
Zwróciła mu Ryszarda pieśń — dziecię miłości!

W radosnem uniesieniu zaśpiewał część drugą
Piosenki, którą kiedyś skomponował z królem,
I Lwie - Serce, wzruszony miłosną przysługą,
Do Ojczyzny powrócił z wiernym trubadurem.

Mieczysław Aleksander Makowski





Fot. Andrzej ks. Lubomirski.

Autor art. A. hr. Rzewuski ✕) jako „niesamowity profesor"

Typowy krajobraz poleski

NIESAMOWITY PROFESOR

(Dokończenie)

„Oto, panoczku dziękuję — zowsim wyzdrowiała — spasybi! — proszę wziąść — dziesiątek jajek przyniosłam — bo „hroszej" ne maju".

Druga, w chusteczce ma wspaniały wielkanocny kołacz! — inna, pod pachą pięknego koguta lub słoniny połać. Boże mój! — odrazu, taka obfitość darów Twoich!

Ogarnia mię pewne skrupuły!... „No, to macie za to pieniądze — jajka po osiem groszy — kogut trzy złote (ceny miejscowe, o których już byłem poinformowany).

„A pfe! panoczku! — to „hostyniec" (podarunek) — to, od „szciroho serca" — przecież „dohtorowi w Sarnach czy Równem mniej od trzech złotych nie dasz — a droga? — a fatyga?"

...Ogrom wdzięczności, aż tryska z oczu tych poczciwców!...

Zdumiewającem zaiste, jak na owe pierwotne natury — „piorunująco" działają, najniewinniejsze środki — jak gwałtownie reagują na nie! —

„No, cóż robić! — dawajcie! — ale, masz babo na cukierki i obwarzanki dla dzieciaków! — dodałem, wciskając złotówkę w ręce pacjenta!...

„Cóż to takiego? — pan profesor „mnie" jeszcze daje! — za nic w świecie!"

„Ależ, to nie zapłata żadna — to tak „od szcziroho serca".

„No, to diakuju panoczku!" ...i cmok mię w rękę!...

Nazajutrz, odbyła się, identycznie ta sama scena!...

Opływałem we wszystko! — jak pączek w maśle!...

Znoszono mi miód leśny, orzechy, „wjuny" suszone, grzyby, mleko kwartami...

Ledwo, ledwo, że ktoś albo która po złotóweczce raczyła przyjąć!

Poczynałem poniekąd już sam nabierać „profesorskiego" rezonu i powagi! Może, doprawdy jestem „urodzonym" doktorem!? Tylu ich jest w naszych czasach na świecie szerokim — noszącym ów tytuł — czemuż, ja nie mam nim być!?



Wilki, upolowane w Nadleśnictwie Oszmiańskiem

Paradowałem więc, w tej swojej „nowonabytej" glorji, jak paw w pogodny ranek majowy — wesołym, jak szczygiełek będąc!...

IV.

Akordem ostatecznym mej „profesorskiej" działalności było w kilka dni później przybycie pieszo, specjalnie żeby poradzić się z Warszawskim „doktorem" dwóch niewiast z tuchowskiej wyspy, z odległości trzydziestu kilometrów przez błota, kładki i brody! (drogą dla pieszych). Jako „honorarjum" jedna z nich niosła na plecach w worku „rozkwiczonego" prosiaka!... druga żywego gąsiora pod pachą!... „To panoczku, zaberete sobi do Warszawy — przyda się w „choziajstwie".

Pięknie podziękowawszy, udzieliłem porady w ich dolegliwościach ...ale „od sczyroho" nawet serca płynącej gratyfikacji... nie wziąłem!

Ładniebym wyglądał w expressie z „rozwydrzonym „porcusem" i gęgającym zbawcą Kapitolu...

„Jaka szkoda, że pan połkownyk nie pozwala!... „rozpuścił" bym tór wojenny przyjechał ze stolicy —

ludzie by jak na jarmark do Was walili! — jak do kościoła na odpust!... Wy, ja wiem nie bogaci — z pensyj oficerskiej żyjecie i z tego co w „gazetkach" piszecie!

..toby och! jeszcze — jakby się przydało — ogonki by, przed waszą kwaterą stały!... szkoda!... wielka szkoda, panoczku!...

Słowa te z ubolewaniem szczerem wypowiedziane przez mego stałego socjusza kłusownika w stanie spoczynku, Pawła Tytorczuka nie przekonały mię jednak, mnie, tak niespodziewanie awansowanego na księcia nauki? i rzeczywiście „niesamowitego" profesora!... Ale o zapasach dobroci serdecznej u ludzi, dzieci Natury, byłem i jestem głęboko pewny — pomimo nieraz tak mylne pozory!...

Adam Rzewuski

POLOWANIE NA WILKI

W listopadzie b. r. przy udziale Naczelników Wydziałów Stefana Obuchowicza i Stanisława Polankiewicza, Inspektora Lasów Państwowych W. Nowickiego, Zastępcy Starosty powiatowego Oszmiańskiego H. Sylwestrowicza oraz Administracji Lasów Państwowych Nadleśnictwa Oszmiańskiego odbyło się polowanie w leśnictwie Holszańskiem w uroczysku „Dynapol". Na linję strzelców wyszło 4 drapieżników, z których myśliwi podając sobie z „rąk do rąk" ubili trzech (jeden pies i dwie suki).

BOGDAN KARPACKI

WIGILJA ŻUBRÓW

W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Ściekły z lodowych czap puszczy
ostatnie świry i blaski.
Ostatnia wataha kruków
do gniazd zwaliła się z wrzaskiem.
Dołem szły wilki, jak kondukt
cieni milczących, ponury...
Drży w dziuplach ptaszęca trwoga...
Wiatr szedł świszczący u góry...
Ócz fosforycznym blaskiem
żbik w skoku gdzieś zamigoce...
— W lodowej zastygły grozie
puszcz białowieskich noce.

Gdzieś, w czarnych trzewiach ostępu
targnęło nagle łomotem.
Tętent ciał słychać olbrzymich —
puszcza powtarza go grzmotem.
Wilki — nad ścierwem jelenia
głuchym modlące się płaczem —
Wpół taktu psalm swój ucięły —
w chaszczach przywarły cichaczem.
Słuchają: — coraz to bliżej
tętent nóg słychać gromowy,
Sapanie... Widać ócz błyski
i straszne, kudłate głowy.

To żubry idą — ostatnie
tej kniei królewskie wnuki.
Gąszcz się rozwarła naprzełaj
przed ich zdyszanym pomrukiem.
Potwornych głów, cielsk nawałą
dęby zepchnęły z swej drogi.
— Ściga je echo puszczy,
jak trzask olbrzymiej pożogi.
Ostatnią rozpruły ścianę.
Na szosę wśródleśną wpadły
I tu stanęły bezradnie,
zbitem, zdumionem stadłem.

Czują, że tutaj nie koniec...
Wzdłuż śniegiem zawianej drogi,
Kroczą, głowami chwiejąc,
jak straszne ostępu bogi.



Wiatr z przodu targa im brody,
grzywy rozwiewa ze świstem.
Zadmą w skrwawione dmie ślepia,
osmala cielska barczyste.
Koło przydrożnej kaplicy
gromadą stanęły nagle.
— Czują, że trzeba tu czekać...
— Poco? — nie wiedzą wcale.

— Żubry, wszak dzisiaj wigilja! —
Stadem bezwolnem, zdumionem,
Ostatnie króle tej puszczy,
idziecie Bogu z pokłonem.
— Wicher się zaszył pod wydmy.
— Seledyn z chmur padł szczerbiny.
Żubry, klękają żubry!...
u stóp drewnianej Dzieciny.
Ze szczęścia ryczą, a potem...
skargą żałosną i bólem,
Że one: — to już ostatnie,
ostatniej puszczy tej, króle.

— — — — — —

Słyszano aż w Białowieży
ten żubrzy płacz wśród zawiei.
— Tej nocy nie było łowów
— i śmierci nie było w kniei.



Choinka, radość naszych dzieci...

WIGILJA BOŻEGO NARODZENIA

Wigilja Świąt Bożego Narodzenia zajmuje wśród wszystkich wigilji najprzedniejsze miejsce i ma różne przywileje. Wykluczone są tego dnia wszelkie wotywy (msze św. o specjalne łaski, dziękczynne lub o pewnych świętych, nie obchodzonych tego dnia, więc w innym kolorze szat kościelnych; u nas mylnie, zwyczajowo nazywa się tak popularnie każda msza św. śpiewana).

Żałobne msze św. (w czarnym kolorze) mogą być odprawiane tylko przy nieboszczyku (w dniu pogrzebu).

Pierwsi chrześcjanie zachowywali tego dnia post ścisły, to znaczy nic nie jedli do wieczora i dopiero o pierwszej gwieździe pożywali wieczerzę; dlatego dziś czekamy na jej zjawienie się, aby zasiąść do „wilji". Całą noc trwali na czuwaniu i modlitwie aż do świtu, więc przynosili ze sobą jedzenie, każdy wedle stanu swego, które po mszy św. spożywali wspólnie. Dla tego braterskiego podziału nazywały się te zebrania przy stole: „agapy" (uczty miłości). Od tego wywodzi się nasza „wilja".

Nasi przodkowie, poganie, o tym czasie obchodzili nowy rok, oczywiście nie żałując sobie jadła i napoju. Przytem ofiarowywali sobie chleby z odpowiedniemi życzeniami i przyśpiewkami. Gdy się ochrzcili i zaczęli w tym czasie obchodzić Boże Narodzenie, stary zwyczaj chrześcijański (agapy) padł na wdzięczny grunt i spożywanie „wilji" przyjęło się, weszło w tradycję tak, iż dziś, gdy nie każdy katolik praktykuje swoją religję i idzie na mszę św., każdy jednak zasiada do „wilji".

Chrześcijański, starodawny zwyczaj spożywania i posyłania sobie „chlebów błogosławionych" podczas mszy św., do dziś zachowywany we Francji i Belgji, zbiegł się z noworocznym ofiarowaniem sobie chleba i stąd dzielenie się opłatkiem przed wieczerzą wigilijną z odpowiedniemi życzeniami.

Opłatki są pieczone z mąki pszennej nie kwaszonej, nabywa się zaś je od służby kościelnej swojej parafji; należy żądać okazania legitymacji z pieczęcią od proboszcza. Przytem daje się ofiarę, która się należy tym ludziom, z których usług w kościele i w parafji się korzysta. Trzeba się wystrzegać nieupoważnionych przez nikogo spekulantów.

Do „wilji" przywiązała tradycja wiele zwyczajów, które nieraz są owocem pobożności chrześcijańskiej, czasem jednak tchną pozostałością zabobonów pogańskich (np. wystrzeganie się trzynastej osoby przy wilji, albo opasywanie na Mazowszu stołu łańcuchem, żeby się chleb „trzymał", lub kładzenie żelaza od pługa (radło) pod stół, żeby krety nie psuły roli.

Dlaczego życzymy sobie „dosiego roku"? W Wielkopolsce „Dudkiem", „Dośką" nazywają bardzo starych ludzi, czyli że życzymy sobie lat „matuzalowych". Wieczerza wigilijna jest ucztą rodzinną, radosną i jako chwalebna tradycja powinna być zachowywana. Oby tylko bez nadużyć! Wszak po wilji wielu pobożnych udaje się na pasterkę, ale idą i pijacy. O, jakże często kościół staje się widownią scen gorszących!

Przysłowie powiada: „Wigilja piękna, a jutrznia jasna, będzie stodoła ciasna". Ale dlaczego: „We wilją, dzieci biją?" Nie wiem ani ja, ani dzieci.

Ks. Sz.

OPTYMISTA
(Satyra świąteczna)

Niema to, jak takiemu. Jak tylko przyszedł na świat, dostał imię — Feliks i nazwisko—Glück. Z łaciną ten Feliks miał tylko tyle wspólnego, że z Owidiuszem chadzał pod pachę, „na wagary", ongiś, w latach straconej młodości, — straconej dla łaciny. Co do nazwiska, Glück, — nie trzeba odrazu myśleć, że był Żydem. Zgoła — przeciwnie.

Podwójny ten szczęściarz z imienia i nazwiska, Polak, katolik, ojciec dzieci i mąż wierny jednej żonie, to polonus z krwi i kości, prawdziwy, współczesny patrjota, chodzący w dziurawych butach, a jednak dumnie podkręcający sobie wąsa, wyskubanego z kłaczków, pozostałych na łysinie. Zresztą nie chodzi o jego rodowód, ale o cnoty, zwłaszcza o pewien nadzwyczajny rys charakteru, szczególny i wyjątkowy w naszym sentymentalnym narodzie. Kiedy niedawno, wymieniony powyżej szczęśliwiec otrzymał do wypełnienia arkusz spisu ludności i wyczytał czarno na białem zachęcenie do przyznania się do jakiegokolwiek zawodu w życiu, wonczas napisał:

— „Nie mam żalu do nikogo. Żadnego zawodu nie doznałem. Jestem bowiem z natury — optymistą. Amen. Tak mi dopomóż, Bóg!" — Feliks Glück.

Proszę pomyśleć — optymista! Taki człowiek w naszym narodzie krzywoustych i rzewnych krzyków powinien być pokazywany za szybą i niańczony przy piersiach. Powinien objąć katedrę meteorologji, posiadł bowiem tajemnicę słonecznej pogody, której nam ciągle brak w życiu. Powinien uczyć ludzi wiary w uczciwość bliźnich i szlachetność otoczenia, mądrości śmiechu i niezrażania się przeciwnościami. Dlaczego nie założył choćby sklepu z różowemi okularami? Bo nikt mu na to nie dał marnej koncesji. Feliks Glück pozostał więc zapomnianym optymistą w narodzie melancholików, chociaż jest także mężem opatrznościowym, ową liczbą, liczbą „44" — tyle bowiem lat sobie liczy.

Dawno już założył dom stuprocentowo zadowolony z wszystkiego. Do swojej żony mówi zawsze jednakowo czule: — „moja słodka Jagusiu" — chociaż z Ksantypy tej wyrosła tymczasem Baba Jaga. A kiedy ta wredna kobiecina rzuca mu na łysinę talerze, uśmiecha się do niej grzecznie i prawi zachęcająco:



Anioł pasterzom mówił...

— Nie przejmuj się, że trzy razy nie trafiłaś. Powoli dojdziesz do wprawy, a wtedy będziesz rzucała dyskiem, jak Konopacka. Ja zaś zostanę — ministrem. Tak bowiem dzieje się w historji dyskobolów.

Pieniędzy ten szczęśliwy optymista mieć nie potrzebuje. Wystarczy mu, że inni je mają. Szalenie go to cieszy. Na dowód tej uciechy pożycza od ludzi kwoty i tak skazane na rozrzutność. Optymizm jego nie da się przytem zachwiać myślą, iż wśród jego wierzycieli znalazłby się bodaj jeden taki pesymista, któryby zwątpił zgóry w zwrot długu.

— Wojna chińsko-japońska? — powiada. — Ależ to fraszki, hopśtynder Madaliński i kwita z kopyta!... Dwa wielkie narody udają tylko, że się biją, aby świat wiedział, gdzie leży Cicikar, Taonan, Kirin lub jakaś tam rzeka Nonni. Chińczykom zrobiło się przykro, że ludzie nic nie wiedzą o Mandżurji. To też wymyślili z Japończykami demonstrację geograficzną, ciekawą reklamowo, a skuteczną.

Feliks Glück od lat nie wyjeżdża na wakacje. Haruje w biurze, jak wół, a zdaje mu się, że go kołyszą skrzydła. Ogromną uwagę przykłada do komunikacji rakietowej. Wtedy na wakacje wyjedzie z dziećmi i żo-

ną, może na Marsa, a może na Wenus. — Nie wiem jeszcze dokładnie — perswaduje sobie — tyle planet mam do wyboru.

Tymczasem po wakacjach, sprzedanych w biurze, sprawił sobie wreszcie ubranie. Coś niecoś gotówki zabrakło — podpisał więc weksel. Stać go było na autograf dla cudzej przyjemności. Po miesiącu przyszedł tenże sam cenny, identyczny weksel z autografem, — mimo wszystko — zaprotestowany. Dopiero gdy złożył mu wizytę komornik, czoło pana Feliksa zajaśniało dawną radością.

— Mamy w Polsce porządnych sekwestratorów — powiedział z dumą. — To nic, że wziął ubranie, ale nie chcąc je narazić na zniszczenie, zabrał mi również szafę.

Takim optymistą w każdej potrzebie jest Feliks Glück. Nie uznaje złych czasów, narzekań, potopu łez, gradobicia i t. p. cierpiętnictw społecznych. Podobnie, jak Noe, który wybudował sobie arkę, chociaż nie ukończył politechniki, tak samo nieuczony przez nikogo ten filozof radosny, Feliks Glück posiadł wiedzę tajemną, jak należy chronić swoją duszę i ciało przed zalewem rozpaczy i jak trzeba doszukiwać się trafnie w każdem nieszczęściu widomego znaku wszelkiej pomyślności

Gdy plajtnęło jego biuro, — pan Feliks jął teraz błogosławić system bezrobocia.

— Co do Z. U. P-u — powiada — szlachetna ta instytucja zasługuje na uznanie. Ludzie, należący do tego związku, za to, że kompletnie nic nie pracują, otrzymują pieniądze z największą punktualnością co miesiąc i to wcale nie ratami, jak w innych biurach. W ZUPie i w PUPPie dzieje się świetnie. Najrozkoszniejsze godziny życia spędzam teraz trzy razy na miesiąc w ogonku przed okienkami tych urzędów. Co za towarzystwo, — wokół sama śmietanka! Jak w salonie, rozmawiamy sobie o muzyce, sztuce i literaturze, prawimy sobie grzeczności, a tymczasem ogonek posuwa się naprzód, jak tasiemcowa girlanda. Niejeden przynosi z domu prymus i gotuje sobie śniadanie. Gdy dojdzie do okienka już ugotował mu się obiad.

— Ależ ty niemasz butów! — krzyknąłem kiedyś z oburzenia.

— Tylko bez przesady! — odparł. — Ubrania nie potrzebuję koniecznie, a zamiast butów wystarczą mi trepki. Sam książę Józef Poniatowski nie wstydzi się siedzieć nago na koniu na placu Piłsudskiego w Warszawie. Ten przykład już dawno natchnął mnie pewnością, że podobna moda nastanie. Szkapę mam już upatrzoną u pewnego znajomego dorożkarza. Powiadam ci, wszystko będzie i musi być dobrze!

Nigdy niczem niezamącony humor i niewzruszony optymizm Feliksa Glücka nieraz zadziwiał mnie swą patologiczną odmianą genjalności. Musiała jednak gdzieś głęboko tkwić pierwsza przyczyna, ów spiritus movens, zadatkowa energja rozpędzonego perpetuum mobile w jego radośnie nakręconej duszy. I tego dociekłem dopiero dzisiaj. Już wiem. Eureka!

— Gdzie tak się śpieszysz? — spytałem go wczoraj na ulicy.

— Do prosektorjum — odparł niecierpliwie — daruj, ale nie mam czasu. Jeszcze mi trupiarnię zamkną przed nosem.

— Idziesz umrzeć?

— Jeszczeby też, — doskonale mi się żyje. Chcę tylko tymczasem sprzedać moje ciało. Będzie mi ono przecież całkiem niepotrzebne po śmierci, a przyda się medykom, którzy robią awantury, że nie mają co krajać. Nagwałt potrzebuję pieniędzy. Dowiedziałem się, że przeciętnie dają za zwłoki — 40 zł., ale za organizmy bardziej schorowane i skomplikowane można dostać nawet 50 zł. Mam nadzieję, że przy dobrym targu, podpiszę umowę za tę cenę. Mam wszelkie dane...

— Naco ci tyle pieniędzy? — spytałem go podejrzliwie, nie zwracając uwagi na inne szczegóły poufnego zwierzenia.

I wtedy mi odpowiedział:

— Całą radość życia, optymizm, humor, śmiech i zadowolenie, wszelką wiarę, nadzieję i miłość, jaką żywię dla świata, ludzi i najmniejszego robaczka na ziemi — zawdzięczam prasie świątecznej. Nie śmiej się, bratku, z feljetonów świątecznych na Boże Narodzenie, bo są pisane poważnie. Tyle w nich jagnięcej serdeczności i dobroci anielskiej, tyle życzeń najszlachetniejszych, że trzeba być chyba heretykiem lub bęcwałem, aby w ich prawdomówność nie wierzyć. Niema gazety, któraby mi wraz z innymi ludźmi nie życzyła na Boże Narodzenie wszelkiej pomyślności do Wielkanocy, a na Wielkanoc z powrotem, tego samego do czasu Bożego Narodzenia. Co do mnie, tem się szczycę, że ufam ściśle tej ludzkiej życzliwości. Ani mi się śni uważać za durniów tych, którzy mi życzenia składają na święta, gwarantując mądrość dobra i pomyślność powodzenia na dzień powszedni kalendarza. Licząc na takie wzruszające objawy, z pełną wiarą mogę patrzeć w świetlaną przyszłość. Dlatego stałem się optymistą.

— Lecz naco ci potrzeba nagwałt pieniędzy? — przerwałem, jak Sherlock Holmes, nie dając się zbić z tropu. — Święta wyprawiasz?

— Nie, mnie chodzi tylko o duszę — odparł. — Od wielu lat, aby dorobek mej duszy doskonalić — kolekcjonuję prócz wiązanek opłatków, pisanek i jajek poświęcanych, wszystkie świąteczne wydania pism codziennych, tygodników, dwutygodników, miesięczników i perjodyków. Teraz potrzebuję w tym celu przynajmniej 50 zł. Pokarm ten ma wystarczyć przecież mojej duszy do Wielkanocy. Chętnie dałbym za niego więcej o ile mi tylko więcej dadzą za moje ciało... Żegnaj, bądź zdrów, salem aleicum.

Janusz Stępowski

Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA I NOWEGO ROKU SKŁADAMY SERDECZNE ŻYCZENIA WSZYSTKIM NASZYM WSPÓŁPRACOWNIKOM, CZYTELNIKOM I PRZYJACIOŁOM

REDAKCJA



„BÓG SIĘ RODZI,

MOC TRUCHLEJE"

— RADOSNA NOWINA
PRZENIKA JEDNAKO
I MURY KOLOSÓW
I STRZECHĘ
WIEŚNIAKA...



Dom — olbrzym, typ nowoczesnego budownictwa w Paryżu

ZE WSPOMNIEŃ O WYSPIAŃSKIM

UCIECZKA

(Dokończenie)

Poeta jadł z apetytem, prędko, i gdy pani S. odwróciła się zabierając talerz, znów mrugnął na mnie. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć, czego chce.

— A kwiat lipowy będzie? — spytał.

— Będzie, będzie synku. Zaraz zaparzę.

Znów wyszła do kuchni.

A poeta momentalnie przechylił się ku mnie z łóżka.

Mówił szeptem, dobitnie i z naciskiem wymawiając każde słowo.

— Proszę zaraz powiedzieć, że dla mnie potrzebny jest kompot z gruszek. Z młodych gruszek, nie słodkich. Spamięta pan? I niech pan to powie ostrożnie, „dyplomatycznie".

Potem odsunąwszy się odemnie, mówił obojętnie, jak gdyby nic.

— O czem to mówiliśmy. A! Bolesław Śmiały. Wedle hipotezy Gumplowicza biskup był zdrajcą, ajentem cesarza, i zabójstwo na Skałce miało zupełnie inne przyczyny, niż to opowiada legenda. Inni znów bronią biskupa, a potępiają króla. Ostatni wyrok w tej sprawie jeszcze nie zapadł.

Patrzyłem nań w milczeniu.

Umysł jego, na codzień, mieszkał jak gdyby w cieniu, w chmurach, i stamtąd, nabrawszy w siebie mocy, niby blaskiem błyskawic rozświetlał mroki historji. Ale równocześnie, gdy raz już spojrzał na daną kwestję, bywał w zakresie badań historycznych bezwzględnie ścisły i bezlitosny. Nie poddawał się niczyim komentarzom. Nie odpoczywał w poszukiwaniach. Chciał prawdy. I znajdował ją. Juści nie materjalną prawdę historyczną, ale stokroć realniejszą, prawdę swego odczucia i natchnienia.

Pani S. wróciła do pokoju.

Poeta spojrzał na mnie wyczekująco.

— Czy pani dobrodziejka daje panu Stanisławowi kompot? — spytałem tonem jak gdyby od niechcenia.

— Kompot? A wie pan, że zapomniałam. Nawet i doktór o to się pytał, i zapomniałam zupełnie. Zaraz jutro wezmę jabłek.

— Gruszki lepsze na kompot.

— Myśli pan?

— Z wszelką pewnością. Kompot z jabłek jest zbyt ostry. Musi być z gruszek. I to z gruszek drobnych, niesłodkich.

— Nie wiem, czy takie dostanę na targu. Może w owocarni. Jutro rano. Zamknę Stasia na klucz i poszukam.

— Nie znoszę kompotu, — odrzekł krzywiąc się chory.

— Co też ty mówisz Stasiu? Lubisz, bardzo lubisz. Odkądże? Ileż to razy jadłeś ze smakiem.

— Nie.

— Ależ tak. I trzeba koniecznie, żebyś dziś zjadł. Zaraz za tem pójdę.

— Ja pójdę — ofiarowałem się z gotowością.

Poeta powstrzymał mnie wzrokiem.

— Nie, — odparła ciotka — wolę sama. Sklepy otwarte? Pan tu jeszcze zostanie chwilę. Będę zaraz z powrotem, to niedaleko. Choć jeśli tu nie dostanę, trzeba będzie pójść do rynku. Już idę. Zostawiam Stasia pod pana opieką.

Nie pojmowałem, ani w ząb, co to wszystko miało znaczyć. Czyżby tak czuła krewna i ochotna pielęgniarka żałowała choremu kilka gruszek, i żeby na to trzeba było aż czyjejś interwencji?

Pani S. wyszła. Kroki jej zcichły na korytarzu.

Wyspiański rzucił szeptem...

— Niech pan zobaczy, z za firanki, czy ciotka weszła do sklepiku naprzeciwko? Wstąpi i za parę minut wyjdzie.

— Dobrze, patrzę.

— Weszła?



— Weszła, ale już wyszła na ulicę.

— Wraca się?

— Nie. Poszła dalej, w ulicę Grodzką.

Poeta zerwał się z łóżka na równe nogi.

— Czemu pan wstaje?

Lecz on już skoczył do szafy, dobył ubranie, bieliznę i szybko zaczął się ubierać.

— Uciekamy.

— Co? Dokąd?

— Uciekamy przed nieprzyjacielem, — śmiał się podniecony. — Prędko! Moje buty! Płaszcz! Tam w drugiej szafie.

Już ubrany. Nasunął z fantazją kapelusz na bok i znalazłszy w płaszczu papierosy, zapalił.

— Co pan wyprawia? — oburzyłem się. — Co ciotka powie? Co o mnie pomyśli?

— Nic to, — rzekł, — klucz od mieszkania zostawimy na dole.

— Czy panu było tu nie dobrze?

— Zanadto. Ale prędko, cicho— śpieszył się. — Nie marudźmy.

Na ulicy zawołał na dorożkę.

Powiedziałem woźnicy adres jego mieszkania.

— Nie, — zawołał. — Do teatru!

Na ulicy o tej porze, przed wieczorem bywa największy ruch. Turkot pojazdów szumiał w blasku wystaw sklepowych i latarń. Patrzył na świat uszczęśliwiony. Podjeżdżaliśmy.

— Nie, — wychylił się z fiakra — nie tutaj, dalej, koło kościoła Świętego Krzyża, pod boczną bramę.

Szedł za kulisy, ale byłem tak skwaszony całem zdarzeniem, że już tam nie chciałem mu towarzyszyć.

— Niechże pan zaraz wraca, — prosiłem. — Zostanę tutaj.

— Zapewne...

— Ale chciałbym się czegoś dowiedzieć. Dlaczego do kompotu miały być gruszki, po które ciocia poszła, niedojrzałe i niesłodkie?

— Żeby zyskać na czasie.

— A mnie, dlaczego pan wybrał na spiskowca tej wyprawy?

— Bo ciocia panu ufa. Z kim innymby mnie może nie zostawiła samego.

Mówił to wesół, rozbawiony swą niespodziewaną wolnością.

Z za kulis ozwał się huk teatralnych strzelb i armat. Poeta przebiegł schodki i zapadł w drzwi. Patrzyłem za afiszem. Co grają? Przedstawienie popularne. Obraz

historyczny „Obrona Częstochowy". Znów huknęły salwy armatnie. Poczem ozwały się organy kościelne, a nad nimi słychać było przejmujący głos księdza Kordeckiego. Młodego Czarneckiego grał aktor Sobiesław Bystrzyński, bohaterski amant dawnej daty. Nareszcie dzwonki i światła oznajmiły przerwę między aktami. Czekanie zaczęło mi się dłużyć. Wchodzę i cóż? W korytarzu teatru przechadzają się aktorzy grający w sztuce. Białe habity, długie brody, aksamitne delje szlacheckie i wywinięte kapelusze szwedzkie z pióropuszami. A w głębi, w drzwiach garderoby, Kamiński, po cywilnemu, słucha uciesznego opowiadania poety o „cudownym ocaleniu" i w djabełkowatym uśmiechu pokazuje rąbki swych białych zębów.

Wyszliśmy wreszcie.

— Cóż tak długo?

Wymawiał się.

— Byłem na przedstawieniu.

— Tej szopy.

— Istotnie, z powodu wadliwego wystawienia... Niebo nad klasztorem niewyraźne, stare. Nie pojmuję, dlaczego nie dali, tak jak ma być, pełnego horyzontu z gwiazdami. Także i to źle, że ci sami statyści grają raz mnichów, raz polskich i znów szwedzkich żołnierzy. Mogła była „Obrona" inaczej wypaść.

— Doskonale. Ale musiałem, po wyjściu z mego więzienia, popatrzeć choć trochę na „postacie historyczne" i nieco porozmawiać z niemi.

Tak. Mówił wciąż z niemi, postaciami dawnej minionej Polski, może przytem z wyobraźni podkładając pod rozmowę inne, tajemne, wyłącznie swoje melodje. Ci, już nieistniejący. byli mu właściwie jedynem i najmilszem towarzystwem.

Lękałem się, żeby dzisiejsza tak sprawnie przedsięwzięta przeprowadzka nie zaszkodziła mu na zdrowiu. Ale nie. Przeciwnie, czuł się zdrowym, jak nigdy, i zaraz następnego dnia zaczął pisać.

Pobyt na ulicy Szujskiego i przeczytanie Nowenny do Świętego Stanisława nie zostały w nim bez śladu.

Zwierzył się któremuś z przyjaciół, doktorowi Chmielowi, czy Kaziemierzowi Lewandowskiemu, z swego nowego artystycznego projektu, a już w jakiś tydzień później czytał Stanisławowi Estzeicherowi pierwszy rapsod poematu „Bolesław Śmiały". Był to zaledwie wstęp, przygrywka, do napisanego w kilka lat potem dramatu pod tym samym tytułem. *Antoni Wysocki*



Sancta Dei Genitrix



CZY TO MOJA WINA?

Że Pani jest tak śliczna,
Że ma tyle uroku,
Jak gwiazdka z poza obłoków,
Co nagle nad ziemią zawisła
I raz schwycony wzrok na sobie trzyma,
Czy to moja wina?

Że w Pani każdem słowie
Brzmi cudowna melodja
Że się muszę jej poddać,
A gdy jeszcze ją uśmiech ozdobi,
Że czar silniej ogarniać zaczyna,
Czy to moja wina?

Że za pięknem iść muszę
Zachwycony hołdownik,
Że je wielbię bezsłownie,
Że przewalczyć nie mogę pokusy
I zachwycony głowę przed nią zginam,
Proszę powiedzieć szczerze:
Czy to moja wina?

MICHAŁ ARCT

WŚRÓD KSIĄŻEK

Ukazał się już na półkach księgarskich „Kalendarz leśny informacyjny” na rok 1932, wydawany w Wilnie już 7 rok przez tamtejszy Oddział Zw. Z. L. P.

Kalendarz co do treści i formy prawie nie odbiega od wydań z lat ubiegłych, chociaż warunki dla wszelkich wydawnictw wogóle znacznie się pogorszyły, chociażby w porównaniu z rokiem zeszłym. Na całość złożyły się artykuły fachowe z dziedziny leśnictwa i cały szereg zajmujących opowiadań, bogato ilustrowanych, o podróżach i przygodach, polowaniach. Są w nim i inne zajmujące artykuły, które niewątpliwie zainteresują naszych leśników i staną się miłą atrakcją w długie wieczory zimowe — nawet w ubogiej chatce gajowego. — Zalecamy przeto ów kalendarz wszystkim naszym czytelnikom i najszerszemu ogółowi. Szata zewnętrzna kalendarza jest jednolitą od początku swego istnienia.

Byłoby może wskazane wprowadzenie większej liczby autorów, gdyż większa rozmaitość w ujęciu artykułów nie zmniejszyłoby jak sądzimy walorów Kalendarza.

B. Zarzycki

L. Huszcza. Tabela do przeliczenia mp. na m³ Wilno 1931. Wydawn. Wileńskisgo Oddziału Zw. Zaw. Leśników R. P.

Tabele są znakomitem ułatwieniem w codziennie prawie stosowanem przeliczaniu drewna w stosach, mierzonego w mp., na metry zbite, zgodnie z obowiązującemi przepisami w administracji lasów państwowych. Bardzo niedużo wgłębienia się i wprawy potrzeba do szybkiego i bezbłędnego posługiwania się tabelami. Zaznaczyć należy, że książeczka ta zawiera więcej, niż podaje tytuł — jest tu bowiem również tabela dla przeliczenia w m³ drobnych sortymentów odbieranych w/g ilości sztuk, jak żerdzie, koły, obręcze i t. d.

Książeczka ta, zdaniem mojem, powinna być gorąco poleconą do użytku pp. leśniczych terenowych i biurowych.

Bilczyński

Kalendarz Iskier na rok 1932. Mała encyklopedja i notatnik. Rocznik VIII. Opracował Włodysław Kopczewski. Nakładem Iskier. Warszawa 1932. Stron 256. Cena egzemplarza w miękkiej płóciennej oprawie — 4 zł.

Kalendarz Iskier jest bogatą kieszonkową encyklopedją, połączoną z notatnikiem na każdy dzień.

Staranne opracowanie, wygodny format kieszonkowy (10 × 14), oraz przejrzysty i estetyczny układ materjału przy naprawdę niewysokiej cenie podnoszą jeszcze bardziej wartość praktyczną Kalendarza.

Arct Zbysław. „Granat”. Opowiadanie z 9 rysunkami Wandy Romeykówny. Wyd. M. Arcta w Warszawie, 1931. Cena zł. 3.—.

Książka ta, należąc do trzyzłotowych książek artystycznych M. Arcta, przeznaczona jest dla starszych dzieci. Treścią jej jest współżycie konia z młodym chłopcem, pełne niezwykłych przygód, oraz wielu często wesołych, a czasem i wzruszających epizodów.

Koń ten nazywa się właśnie Granat. Autor opisuje z dużem znawstwem jego życie od chwil najwcześniejszych. Granat początkowo był łagodny i pieszczotliwy, później stał się dzikim, rozhukanym źrebcem, wreszcie gdy wyrósł na wspaniałego konia, uznał nad sobą władzę jedynie swego młodego pana. Książka ta, pisana żywo i interesująco, zawiera ponadto wiele ciekawych wiadomości o życiu koni, a co ważniejsze dla czytelnika, podanych w formie opowiadania.

Berthet Eligjusz. „Młodzież w pięciu częściach świata”. Wyd. M. Arcta w Warszawie, 1931. Cena zł. 1.80.

Książka zawiera pięć opowiadań z życia młodych chłopców w krajach pozaeuropejskich. Treść jej najlepiej zilustrują tytuły opowiadań: Lao, mały Chińczyk; Adam Smith, mały Amerykanin; Hans, mały Eskimos; Sambo, mały Afrykanin; Kędzierzawa Głowa, mały Australczyk.

Berthet był swojego czasu jednym z najpopularniejszych pisarzów dla młodzieży. W danej książce w ciekawy sposób opisuje życie i obyczaje egzotycznej młodzieży w drugiej połowie zeszłego stulecia, zatem okresie znacznie ciekawszym dla młodocianych czytelników, niż czasy obecne, gdy niema już walk z Indjanami i t. p.

Opisy te obfitują w materjał przyrodniczo - geograficzny; jednocześnie jednak, mimo bogactwa naukowego, autor potrafił nadać im formę żywych i zajmujących powiastek.

Buyno-Arctowa Marja. „Serca i serduszka”. Rysunki i okładkę wykonała W. Romeykówna. Wyd. M. Arcta w Warszawie, 1931. Cena zł. 10.

Życie małej Bożenki, głównej bohaterki powieści, to jeden ciąg niezwykłych przeżyć i przygód. Młodocianych czytelników jej losy wzruszą i zaciekawią,a poza tem dzięki wzniosłej i szlachetnej tendencji, umiejętnie przebijającej ze wszystkich kart książki, nieraz wskażą prawdziwą drogę serca.

Już samym bowiem tytułem dzieli autorka duszyczki dziecięce na dwie kategorje serc i serduszek. Sercem okazuje się mała Bożenka, mimo że dziecięctwo jej było pasmem niepowodzeń i ciężkich przejść, bynajmniej nie sprzyjających rozwojowi charakteru; małe zaś serduszko ma Elżunia, która zaofiarowała się opiekować sierotką, lecz zobowiązań tych nie dopełniła. Problem rozwoju duszyczki dziecięcej został potraktowany, jak we wszystkich zresztą książkach, znanej autorki, bardzo interesująco, co w połączeniu z żywą akcją i obfitującą w wydarzenia treścią, daje książce duże walory czytelnicze.

Normand Cecil. „Szmaragd Inkasów”. Powieść dla młodzieży. Przekład z francuskiego. Wyd. M. Arcta w Warszawie, 1931. Cena zł. 1.80.

Treścią powieści jest powstanie Indjan w Peru pod wodzą ostatniego przedstawiciela królewskiego rodu Inkasów Papa Capaca. W czasie zamieszek powstaniowych rodzina pułkownika hiszpańskiego przeżywa wiele ciężkich, a zawsze emocjonujących chwil. Najwięcej doświadcza młoda córka pułkownika, porwana przez Indjan i przeznaczona na krwawą ofiarę.

Taka jest w najogólniejszym zarysie treść tej ciekawej powieści. Jej motywem przewodnim jest piękna legenda o królewskim szmaragdzie, którego znalezienie ma przywrócić tron wydziedziczonym Inkasom. Akcja rozgrywa się w mało znanem, górzystem Peru, głównie między groźnemi skałami i przepaściami, czasem w romantycznych ruinach miast dawnych Inkasów. Tajemnicze tło, niezwykłe wydarzenia, oryginalny temat wzbudzą na pewno duże zainteresowanie wśród młodych czytelników.

de Rougemont L. „Trzydzieści lat wśród dzikich”. Z francuskiego opracowała dla młodzieży W. Marrené. Wyd. M. Arcta w Warszawie, 1931. Cena 2.50.

Jest to pamiętnik, w którym autor opisuje tak bardzo długi okres życia, spędzony przymusowo między dzikiemi plemionami Australji. Naturalnie takie życie musiało być jednem pasmem przygód i wrażeń, a jednocześnie nieustanną nauką przyrody, geografji i obyczajów dzikich ludów.

Książka ta zatem spełnia podwójne zadanie. Porywa treścią, niepokoi ciągłą niepewnością o los bohatera, a jednocześnie niewidocznie i nieznacznie kształci młodego czytelnika.

„Kurjer Księgarski dla wszystkich”.

Ukazał się Nr. 10—11, za październik — listopad r. b., znanego miesięcznika, poświęconego propagandzie książek, p. n. „Kurjer Księgarski dla wszystkich”. Aby utrzymać się na powierzchni życia kulturalnego, konieczna jest orjentacja w sprawach przynajmniej wybitniejszych nowości wydawniczych. Niezawodnym kompasem śród odmętu nowych książek jest popularny „Kurjer Księgarski dla wszystkich”, organ Domu Książki Polskiej, redagowany przez E. W. Szelążka.

We własnym interesie powinien czytelnik i nabywca książek mieć zawsze pod ręką „Kurjer Księgarski dla wszystkich”. Adres redakcji: Warszawa, Pl. 3-ch Krzyży 8. Cena pisma rekordowo niska: 1 zł. 80 gr. rocznie wraz z przesyłką.

T. Fonferko. Jak budować kajaki jedno i dwuosobowe. Warszawa, 1931. Główna Księgarnia Wojskowa. Wyd. II. Cena zł. 2.20.

Duży rozwój sportu kajakowego u nas w ostatnich latach wywołuje potrzebę odpowiedniej literatury o nim. Wśród kilku prac z tego zakresu zasługuje na uwagę, ze względu na praktyczne zastosowanie, książka T. Fonferki, „Jak budować kajaki jedno i dwuosobowe”. Wyd. II. Jest to praca o dużej wartości.

Jako dowód tej wartości przemawia fakt całkowitego wyczerpania pierwszego jej nakładu w ciągu 6 miesięcy.

Obecne drugie wydanie zostało rozszerzone przez dodanie rozdziału, omawiającego budowę kajaka dwuosobowego w odróżnieniu od pierwszego wydania, gdzie była mowa tylko o jednoosobowych.

Sosabowski Stanisław, ppłk. dypl. — Wychowanie żołnierza - obywatela. Podręcznik dla dowódców pododdziałów uzgodniony z „instrukcją o pracy oświatowo-kulturalnej i wychowawczej w wojsku” Warszawa 1931. Cena 6 zł.

Wojsko — to szkoła, której celem jest wychowanie nie tylko dzielnych wojowników, lecz również i prawych, oddanych swej ojczyźnie obywateli.

Książka jest odpowiedzią na pytania, jakie wiadomości i jakie zasady powinno wojsko wpoić żołnierzowi - obywatelowi państwa polskiego.

O. Żukowski, por. marynarki. Stalowe rekiny. Warszawa, W. I. N. W., 1931, str. 88. Cena zł. 2.60.

Historja łodzi podwodnej zaczyna się od 1776 r. kiedy została zbudowana w Ameryce pierwsza łódóź „Żółw".

Za tym prymitywem idzie stopniowo dalszy rozwój i udoskonalenia łodzi aż do współczesnych typów, które wyrażają się obecnie w formie wielkich okrętów podwodnych.

Łódź podwodna jako jednostka bojowa, nabiera rozgłosu dopiero od czasu wojny światowej. Świeżo mamy jeszcze w pamięci wielką ilość zatopionych wówczas okrętów wojennych oraz statków handlowych.

Odtąd świat zaczyna zwracać baczną uwagę na rozwój łodzi podwodnych, które, zwłaszcza dla państw słabych na morzu, stanowią niezwykle potężny środek obronny i zaczepny.

Stąd zagadnienie posiadania łodzi podwodnych jest dla nas niezmiernie aktualne i wzbudza zrozumiałe zainteresowanie się niemi społeczeństwa, szczególnie w związku z wcieleniem pierwszej łodzi „Ryś" do naszej marynarki wojennej.

Z przyjemnością bierzemy do ręki świeżo wydaną książkę „Stalowe rekiny", która wyczerpująco zaznajamia nas z całokształtem wiadomości o łodzi podwodnej. Praca ta składa się z 8 rozdziałów i kolejno podaje opis dawnych typów łodzi do czasu wojny światowej, opis torped imin, współczesnych łodzi podwodnych, znaczenie ich, taktykę i sposoby walki, sposoby zwalczania łodzi podwodnej w czasie wielkiej wojny, ratowanie łodzi oraz ich załogi i w końcu działanie łodzi podwodnych w czasie wojny.

Zdobią książkę i uzupełniają liczne rysunki w niej zamieszczone. Książka napisana niezwykle jasno i przejrzyście z przeznaczeniem dla szerokich sfer społeczeństwa.

Mieczysław Jarosławski: Między Eufratem a Tygrysem. Wyd. „Książnicy Atlas".

Znany ten podróżnik i niemniej znany autor obdarzył świat czytelniczy, a przedewszystkiem młodzież szkolną, nową, zajmującą książką, która w dwuch tomach opuściła świeżo prasę drukarską. Zarówno interesująca treść, jak i ładna szata zewnętrzna, kwalifikują to wydawnictwo na piękny podarek gwiazdkowy. Obszerniejsza recenzja ukaże się w numerze następnym.

PODRĘCZNIK FOTOGRAFJI

Sztuka fotografowania rozwija się w bardzo szybkiem tempie. I nie dziw, boć album fotograficzny amatora fotografa, to najdokładniejszy pamiętnik, który pozwala nam przeżywać powtórnie dawno minione wrażenia. Aby jednak fotografja dała pełne zadowolenie — musi być dobra, a aby była dobra, musi być wykonana umiejętnie. Zupełnie fałszywem jest mniemanie, że wystarczy „przytyknąć" i pożądany obraz zostanie uwieczniony na kliszy. Kto fotografją zajmuje się, wie, że tanim prostym aparatem można robić zdjęcia artystyczne, a partaczowi najlepszy i najdroższy aparat nic nie pomoże.

Zanim weźmie się aparat do ręki, trzeba nauczyć się fotografowania. Ponieważ na rynku istnieje bardzo duża ilość aparatów różnych modeli, kandydat na fotografa zrobi najlepiej, jeżeli rozpocznie swą karjerę od kupna dobrego podręcznika i dokładnie podręcznik przestudjuje. Będzie on wówczas dobrze zorjentowany i kupi aparat nie na „chybił trafił", lecz celowo, przystosowany zarówno do zamierzeń amatora, jak do możności finansowej.

Z pośród dużej liczby podręczników, znajdujących się na rynku księgarskim i fotograficznym polecić możemy szczególnie „Podręcznik Fotografji Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografji", wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

O ile podręczniki opracowane przez niektóre wytwórnie apartów i materjału fotograficznego są zbyt jednostronne i zawierając wprawdzie ogólne zasady fotografji, zachwalają przedewszystkiem własne wyroby, — podręcznik Polskiego Towarzystwa Miłośników Fotografji jest wszechstronny i traktuje rzeczy najzupełniej objektywnie. Wspomniany podręcznik zawiera: zasady optyki dotyczące fotografji, opisy kamer fotograficznych różnych typów, opisy objektywów różnych typów i wskazówki co do wyboru objektywów, opisy sprzętu fotograficznego różnych typów, klisz, błon, wskazówki jak urządzić ciemnię, wskazówki jak fotografować, wywoływać, utrwalać klisze i błony z podaniem licznych recept jak wykonywać samemu wywoływacze i utrwalacz, przepisy dotyczące zdjęć na płytach barwnych, kopjowania fotografij i powiększania. Nadto zawiera podręcznik dział specjalny obejmujący fotografję sposobem platynowym, pigmentowym, bromopimigmentowym, olejowym, bromoolejowym, oraz bogaty dział dotyczący projekcji. W końcu zawiera podręcznik różne drobne przepisy, niezbędne dla fotografa, oraz spis związków chemicznych, używanych w fotografji. Bogata treść zawierająca prawie że encyklopedję fotograficzną uzupełniona jest 156 rysunkami i 15 tablicami. Cena w stosunku do wartości podręcznika nie wysoka — 8 zł. Nabycie tego podręcznika sowicie się opłaci każdemu fotografowi amatorowi, a wydatek zwróci się z nadwyżką, skoro podręcznik uchroni amatora od psucia klisz, błon i materjałów, co w sumie znacznie drożej wypada.

S. B.

SCENA I ŻYCIE

TEATR NARODOWY

„Baltazar" — komedja w trzech aktach Leopolda Marchand'a. Przekład Stanisława Szpotańskiego. Reżyserja L. Solskiego.

Rodzą się czasem dzieci — trochę zawcześnie. Są to tak zwane dzieci niedonoszone. W życiu różnie z niemi bywa: umierają przedwcześnie na niedorozwój fizyczny lub, osiągając wiek dojrzałości, niezrozumiałe są dla otoczenia ze względu na przerost niektórych ośrodków zmysłowych kosztem upośledzenia reszty. Tak się ma również rzecz i ze sztuką Marchanda.

Jego „Baltazar" mógłby być niezłą figurą komedjową, gdyby nie był poroniony kompozycyjnie i nie usiłował zaimponować widzowi trickiem tajemniczej oryginalności.

Od początku pierwszego aktu aż do ostatniej sceny widz nie zdaje sobie sprawy, o co tej postaci chodzi i po co walczy z wiatrakami w osobach poczciwej rodziny burżuazyjnej, pragnąc ją dla niewiadomych celów uszczęśliwić według swej recepty życia.

Jeżeli wszakże taki bieg sztuki uważać należy z jednej strony za brak konstrukcyjny, to z drugiej, życiowo biorąc, widz staje przed narzuconą mu zagadką, która go zaciekawia i gimnastykuje umysł. Autor bowiem, który dzięki swej tajemniczości wyrządził mimowoli krzywdę nazwisku komedjopisarza, jednocześnie obdarza widza nieprzeciętną rozrywką, pozwalając mu snuć przez cały czas opornie rozwijającej się akcji — hipotezy psychopatologiczne na temat: kto tu jest istotnie warjatem? Oryginał-miljoner amerykański, znakomity profesor-psychjatra, czy może nawet sam autor. Jak wiadomo zaś, przyjemnie jest posądzać bliźniego o bzika. Tej nieprzeciętnej przyjemności może oddawać się z czystem sumieniem widz w ciągu trzech aktów komedji Marchanda, a nawet jeszcze i po wyjściu z teatru — zwłaszcza że obserwację tę znakomicie ułatwiają mu tacy artyści jak — Ćwiklińska, Węgrzyn, Gawlikowski i Kurnakowicz, którzy, zdaniem mojem, gdyby się szczerze chcieli do tego przyznać — głowić się muszą nad niedonoszonym przez autora problematem. Inaczej mówiąc, niedociągnięcia, wahania i pauzy nie pochodzą z ich winy, lecz są wynikiem niezdecydowań autora, który postaciom swym nie umiał nadać wyrazu życia scenicznego.

Może, może szkoda pracy sumiennego tłumacza i wytrawnego reżysera, którzy nie mogli przecież pogłębić niedonoszonego już z natury „Baltazara", jakkolwiek im to właśnie zawdzięcza autor wyprowadzenie sztuki ze sfery djalektycznej w światło tętniącego komedjowym pulsem życia.

TEATR LETNI

„Kłopoty Burrachon'a" — komedja w trzech aktach L. Doillet'a. Przekład Bolesława Gorczyńskiego. Reżyserja E. Chaberskiego.

W przemiłej tej i dobrze zbudowanej komedji brak intrygi miłosnej. Zastępuje ją nie bez poważnego suksecu doświadczana dobroć człowieka. I to właśnie odróżnia ją od szeregu innych tego typu sztuk francuskich, które już się mocno przejadły.

Istnieje tu natomiast zagadnienie o podłożu dramatycznem, tak wszelako potraktowane komedjowo, że nietylko

godzi ze smutną rzeczywistością uczestników sztuki z Bourrachon'nem na czele, ale i publiczność. Mało tego — zarówno poszkodowanych, jak i widza ogarnia ku końcowi szlachetne rozrzewnienie, a to dzięki nieco groteskowej djalektyce autora. Dramatycznym momentem są narodziny nieślubnego dziecka, gorzej — takiego dziecka, które urodziło się w pięć miesięcy po pobraniu się państwa młodych. Djalektyka autora, usiłująca godzić z rzeczywistością, używa wcale niewyszukanych argumentów: Czy mężczyzna nie żeni się z wdową, która ma już gotowych kilkoro dzieci? Czy panna, która zgrzeszyła, zanim poznała przyszłego męża, jest winna? Tym rozbrajającym argumentem dodaje przekonywującej wartości charakter poszkodowanego aptekarza o gołębiem sercu i szczerze rodzicielskich instynktach, oraz... interes rodzinny i firmy. Zaskoczony faktem ojciec może zamknąć oczy na pochodzenie dziecka, skoro przyzwyczaił się już od kilku miesięcy do mającego nastąpić ojcostwa; rodzinka może znieść tę plamę na honorze, jeżeli ma na widoku interesy materjalne. Są to tylko obnażeni z napuszonej dostojności ludzie.

„Przesąd" społeczny zabiła uczuciowość i obawa następstw. Inteligent staje się prostaczkiem, jest folwarcznym Bartkiem, piastującym niemowlę żony z dumą ojcostwa. Argument logiczny? Proszę — a czyż ciele kupionej na jarmarku krowy nie jest własnością nabywcy?

I komedja „stała się". A dalej będzie już wszystko dobrze. Następne dzieci będą już ślubne, chociażby, chociażby... Czasem kobiecie może się coś przytrafić i po ślubie.

Fertner, dzięki niepospolitemu talentowi, grał inaczej niż dotychczas — bez manjery, komedjowo z refleksyjną łezką. Pani Gella — koncertowo, chociaż szkoda jej talentu na ukazywanie maski „kutej na wszystkie nogi baby". Przekład Gorczyńskiego pozwolił nam zapomnieć o francuskim tekście, choć zmusza do przypomnienia, że należy się nam przecież coś oryginalnego od znakomitego autora dramatycznego, który ostatniemi czasy, delikatnie mówiąc, zapomniał o obowiązkach swego szczerego talentu w stosunku do dramatycznej sztuki rodzinnej. Reżyserja Chaberskiego bez odchyleń i załamań prowadziła do pogodnego rozwiązania.

TEATR MAŁY

„Dr. Julja Szabo" — komedja w 3-ch aktach W. Fodora. Przekład Jana Adolfa Hertza. Reżyserja Stanisławskiego.

Dobrze czujący scenę autor węgierski powiedział nam w swej komedji to, co już po tylekroć razy opowiadali inni pisarze: nigdy kobieta nie przestanie być kobietą i nigdy nie omieszka skorzystać ze swego prawa do miłości. Nawet wtedy, kiedy wykwalifikowany zawodowo jej umysł, znając całą fizjologję tej miłości, usiłuje trzymać zmysły na wodzy.

Nie chodzi więc już tutaj o jakieś zagadnienie. Idzie poprostu o to, aby rzecz znaną opowiedzieć w sposób barwny i dowcipny. Ford czyni to bez wysiłku, zdając sobie z tego sprawę, że widz już z pierwszych scen zorjentuje się, jaki będzie koniec. Niema tu ani intrygi, ani poważnych konfliktów. — Miejsce ich zastępuje doskonały djalog i umiejętnie rzucony dowcip. To też publiczność śmieje się jak za najlepszych czasów, co znakomicie jej ułatwia Marjusz Maszyński (Albert bez wyrazu) i jego groteskowa ciotka (pani Czaplińska). Urocza doktór Szabo, panna Romanówna, staje się już tylko objektem gry, nie zapominając ani na chwilę o tem, że piękna kobieta sama przez się i pomimo wszelkich okoliczności jest atutem wygrywającym nieomylnie. Pani Zimińska — niezwykle inteligentna w okazywaniu braku inteligencji staje się dla sztuki jej nieodzowną solą.

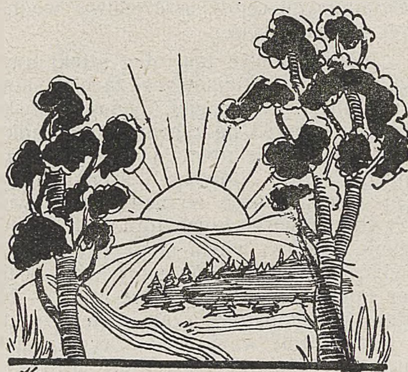
Elastyczność djalogu w polskim przekładzie nie budzi żadnych zgoła zastrzeżeń. Nie znać tu wysiłku tłumacza. Jan Adolf Hertz dał przekład nietylko poprawny, ale i sprawiający wrażenie oryginału.

TEATR POLSKI

„Elżbieta, królowa Anglji" — sztuka w pięciu aktach, F. Bruckner'a. Przekład Marjana Szyjkowskiego. Reżyserja Aleksandra Węgierki. Dekoracje St. Śliwińskiego.

Wbrew temu, co o rzekomym talencie Brucknera pisała i pisze prasa niemiecka, odważam się twierdzić, że sławę robi mu reżyser. I nie trzeba oglądać „Elżbiety, królowej Anglji" na scenie Reinhardowskiej, aby do tego przyjść wniosku. Wystarczy najzupełniej zobaczyć ten „montaż sceniczny" w teatrze Szyfmana.

Tak. Niektórzy autorzy mają szczęście. Do rzędu ich należy Bruckner, vel dziennikarz niemiecki — Tagger. Osiągają oni powodzenie bez większego wysiłku. Wystarcza, jak w omawianym wypadku, aktualnie podchwycona tendencja i zaryzykowanie nie tyle oryginalnej, ile obcej dotychczasowemu teatrowi formy: a więc — kinowa równoczesność akcji, a nawet nie kinowa, ale wprost życiowa. Napisać łatwo, bo napisać można wszystko. Wystawić i wyreżyserować bardzo trudno, a już niesłychanie trudno strawić widzowi. Jeszcze krok w tym kierunku, a w głowie jego powstanie mentlik. I tu właśnie na pomoc ofiarze, porażonej Brucknerowskim talentem, zdąża czujny, przewidujący i pomysłowy reżyser. Nie dosyć bowiem jest zahaczyć o snobizm widza, o jego chęć oglądania „nieprzeciętności". Trzeba go zachloroformować, skoro już ma zamiar poddać się tej „wielce artystycznej operacji". Teatr Polski w osobie reżysera Węgierki i dekoratora Śliwińskiego, ratując kinomachję autora, oszołomiał pomysłowością dekoracji, zastosowaniem reflektorów, stylowemi kostjumami, umiejętnem modulowaniem djalogów i ruchów — jednem słowem tem bogactwem formy, które umie rzeczy przeciętne podnieść do poziomu nieprzeciętności. Zarówno bowiem sama akcja o banalnym podkładzie fabuły, jak i brak mocnych a bezpośrednich konfliktów oraz przeciętne oblicza bohaterów — wszystko to, po odrzuceniu reżyserskiej inwencji i atutów wysokiej gry aktorskiej — dociągnęłoby sztukę zaledwie do poziomu nieco sfałszowanej bomby historycznej.



Samo życie niewielką wyniesie z oglądania podobnych sztuk naukę, o ile odrzuci się przesadną tendencję, opartą na umiejętnem a perfidnem wyzyskaniu kontrastów religijnych. Kto wie jednak, czy nie w tym właśnie celu Bruckner napisał swoją „Elżbietę" — jeżeli za cel (również wyraźny) nie uważać chęci skokietowania Anglji przez autora.

I oto jeszcze jeden minus tej „twórczości" — niepogardzającej artystycznemi motywami dla osiągnięcia praktycznych celów.

Gdybym w tem miejscu położył kropkę, nie uwydatniłbym należycie niewątpliwego sukcesu „Elżbiety" na scenie teatru Polskiego. A sukces ten zawdzięcza autor nie w mniejszej mierze i wykonawcom głównych ról.

Ale nietylko głównych — niemal całemu zespołowi. Pani Przybyłko Potocka umiała być prawdziwą królową, a jednocześnie kobietą. Majestat, pełen poczucia własnej siły, towarzyszył jej w każdem słowie, w każdym ruchu; tam zaś, gdzie i kobieta mogła głos zabrać — powiedziała wyraźnie i wiele. Jest to zresztą jedyna w sztuce rola jako-tako opracowana. Nic dziwnego — królowa Anglji jest najpoważniejszym rzecznikiem uplastycznienia tendencji autora. Niezły jest i Filip II, choć już narzucony tylko jednostronnie, jakby dla kontrastu, jakby na drugim planie, więcej papierowy i wpleciony w scenarjusz ad hoc. Jedynie tej miary artysta co Junosza-Stępowski zdołał nawet tak szkicowanemu profilowi nadać maskę mocną i zdecydowaną. Tę parę filarów sceny polskiej warto widzieć, a warto ją zobaczyć na tem właśnie tle, aby móc ocenić skalę rozpiętości ich talentów. Trudno tu pisać o wszystkiem. A przynajmniej o ważniejszych postaciach, ale podkreślić jeszcze należy grę p. Pawłowskiego (hr. Essex), który w szybkiem tempie posuwa się ku mocnemu stanowisku w karjerze scenicznej; p. Boelke, nieco mało może perfidnego, ale wystarczająco zimnego jak na Bacon'a, i jezuitę Neubelt'a (maska, ruch). P. Łuczaj, kardynałem wprawdzie nie był, ale intonował nabożeństwo mocno i pięknie.

TEATR WESOŁE OKO

„Rumba - Rumba". Pod hasłem najnowszego tańca wystąpił z rewją ten sympatyczny teatrzyk. Nie można mu wszakże mieć tego za złe, że zgodnie z zapowiedzią, nie zmajoryzował owym tańcem całości widowiska. Przeciwnie — fakt, że na czoło programu wybijają się numery nie mające nic wspólnego z Rumbą, świadczy o istnieniu głębiej pod powierzchnią mody nut artystycznych. Tak więc, np., zanotować należy piękną groteskę „Kot w butach", wykonaną na tle



Nasza zima

Fot. Emha—1931

bieguna północnego przez p. Rentgena (śpiew) i p. Alesso (taniec). Jest to melodyjne, miękkie, jak pierwszy śnieg i na wysokim poziomie artystycznym. Co do występu p. Fuchsa, to muszę podkreślić, że talent jego leży i rozwijać się może w piosenkach sentymentalnych, nie zaś w pajacowatych wydziwianiach.

Myślę, że p. Fuchs o tem wie. To też winna jeszcze o tem na serjo pomyśleć dyrekcja. P. Walter, jak zwykle, rozjaśniał oblicze widza i nie przestaje być atrakcją, co również można powiedzieć o p. Żelichowskiej, prawdziwej „wampirzycy", która jeżeli się komu przyśni (zwłaszcza w wieku dojrzałości męskiej) — może zasugestjonować do chodzenia co wieczór do „Wesołego Oka" — z okiem smutnem i pożerającem.

TEATR ATENEUM

Śmierć Dantona" — tragedja w czterech aktach pdł. Georga Buchnera. Opracowali Aleksy Tołstoj i Paweł Szczygolew. Przekład Leo Belmonta. Reżyserja Stanisławy Perzanowskiej. Konstrukcja sceniczna Eug. Poredy.

Największem dobrem człowieka jest życie. Celem jego jest żyć. Fakt ustanowienia kary śmierci przeczy założeniom życia. Przeczenie to potęguje się, skoro wyroki śmierci ferować może mszczący się wróg. Gdyby na całej kuli ziemskiej raz na zawsze zniesiona została kara śmierci, niedalecy może bylibyśmy tych czasów, kiedy życie jednostki nabrałoby większej wartości. Do tego wszakże nie dopuszczają rewolucje, bo każda z nich, stając się bezwzględnym szafarzem śmierci, tępi w człowieku poczucie tego najwyższego dobra dla ludzi. Z łatwością padały na szafocie głowy podczas rewolucji francuskiej, z łatwością morduje dzisiejsza rewolucja rosyjska, a nawet hiszpańska czy inne. Wkrótce już to samo może rozpętać się „w państwie bojaźni Bożej" — w Niemczech.

Można byłoby zaryzykować twierdzenie, że historja nie uczy niczego. Danton przelewa strumienie krwi ludzkiej, wkrótce potem gilotyna, kierowana ręką Robesspierre'a, obcina głowę Dantona, a zkolei Robespierre kładzie twardy łeb pod nóż „Wdowy".

I po co? Może poto, aby na świecie było lepiej? Kto ma złudzenia, niech idzie do teatru Ateneum i przekona się, czem jest rozpętana w tłumie możność ścinania łbów: ścina je się tylko dla efektu spadania, aby nasycić morderczy, zwierzęcy instynkt.

I w tem znaczeniu wystawiona tragedja ma być „pedagogiczną", jakkolwiek potworna to pedagogja i mocno niebezpieczna dla pouczania tych, w których powinna tępić instynkty mordercze. Cóż z tego, że bezwartościowa sztuka wyreżyserowana została przez p. Perzanowską dobrze? Cóż z tego, że dekorator, p. Poreda, z geometrycznych figur i ostrych oświetleń stworzył efekt nieprzeciętnych głębi, perspektyw i malowniczości, zastępujących dwuwymiarowe kulisy? Czy cały ten wysiłek nie pójdzie na marne, skoro się zważy, że ludzie wrażliwi i cichego serca z przerażeniem odwrócą się od uplastycznienia tej krwawej karty historji francuskiej — ludzie zaś tępi i fanatycy o zbrodniczych instynktach znajdą tu dla siebie rozgrzeszenie i zachętę na przyszłość.

To też trudno mi oceniać grę artystów, skoro to, co nawet w człowieku przeciętnym jest dobre, nie mogło znaleźć dla siebie w tej sztuce wyrazu, natomiast zło, nawet uplastycznione przez czujnego artystę, nigdy nie wybucha z potęgą zła rzeczywistego. Danton (p. Z. Chmielewski) był blady, gdyż bunt jego nie był buntem idei, lecz buntem dumy krwawego kata; Kamil Desmoulinse (p. R. Zawistowski), choć protestował szczerze i płakał tragicznie, nie mógł wyjść poza narzuconą mu przez autora charakterystykę słabego poety; Robespierre (p. J. Łuszczewski) załamywał się raz po raz, gdyż nie mógł szczerze wydobyć ze siebie akcentów zwierzęcia. Może najszczerszą i najdostojniejszą była lekceważąca, filozoficzna pogoda Herault de Sechelles, którego z wyższością intellektu, wznoszącego się ponad instynkty tłumu odtworzył doskonale p. J. Dziewoński.

Z kobiet — jedynie Kobieta w czarnym szalu (p. Perzanowska) dała to, co rzetelny artyzm dać może. Tak, bo Dama w czarnym szalu, może wbrew intencjom autora, stała się kwintesencją człowieka w szlachetnem znaczeniu tego słowa; brzydziła się przelewaniem krwi ludzkiej.

Mieczysław Jarosławski

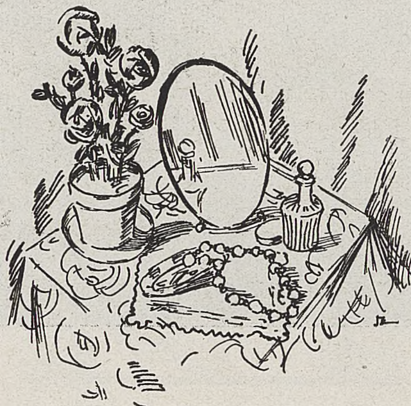
COŚ DLA PAŃ

ZE ŚWIATA MODY

Żadna z Pań nie domyśla się zapewne, jaką nowinę chcę dziś zakomunikować. Zjawiła się ona w samą porę, gdyż nietylko w okresie poprzedzającym karnawał, ale również w czasach, w których wszystko co jest wygodne, ładne, praktyczne a przedewszystkiem niedrogie, cieszy się ogólnem powodzeniem.

A więc już niedługo zapewne, ujrzymy nowy rodzaj bluzki, tak zwanej „wieczorowej". Bluzka ta z reguły powinna być bez rękawów, aby ją można było zastosować na bal. Może być wykonana z jedwabiu ciemnego czy też jasnego, wkładana nawierzch, na spódniczkę. Na biodrach musi być lekko udrapowana, aby nie wyglądała zbyt skromnie. Ozdobę stanowią bardzo modne w obecnym sezonie wszelkie dżety, cekiny i paciorki, które naszywamy gęsto na dole, przerzedzając deseń stopniowo ku górze, tak, aby na ramionach zanikł zupełnie. Do bluzki tej możemy zrobić oddzielnie staniczek z rękawami, który wkładamy pod spód wtedy, gdy chcemy wyglądać mniej „balowo". Dół rękawów wykańczamy takiemi samemi świecidełkami, jak te które naszyłyśmy na bluzce.

Jeżeli toaleta nasza ma wyglądać bardziej strojnie, to spódniczka właściwie powinna być jedwabna, ciemna. Najładniej przedstawia się komplet w jednym kolorze, np. czarnym, gdyż wtedy robi wrażenie całej sukni. W ostateczności można podobną bluzkę włożyć nawet do spódniczki wełnianej, jeśli nas nie stać na inną, gdyż sprawienie sobie odrazu kompletu jedwabnego równałoby się nowej sukni, a więc nie opłaciłoby się wcale, jeżeli chodzi o pewną oszczędność. Mamy wrażenie, że w nadchodzącym karnawale nowość ta, o ile się przyjmie, uchroni nas nietylko od wielu kosztów, ale również i od nudnych wizyt u krawcowej, gdyż wykonanie takiej bluzki nie przedstawi specjalnych trudności dla Pań, mających trochę pojęcia o kroju. No, a spódniczkę, taką czy inną, to chyba prawie każda z nas posiada.



Zato Czytelniczki moje nie domyślają się wcale, jakie niebezpieczeństwo groziło im ze strony mody, przypominającej do złudzenia czasy naszych prababek. Całe szczęście, że elegantki paryskie ze względu na... ciężkie czasy pozostały obojętne na dziwaczne fasony, patrzące z wystaw pierwszorzędnych magazynów. Gdyby nie to, kto wie czy w prędkim czasie nie spotkałybyśmy i u nas na którejkolwiek z ulic, osóbki ubranej w ciężką, pod szyję zapiętą suknię z szeroką, mocno nafałdowaną spódnicą, przyozdobioną czemś, w rodzaju turniury , uwydatniającej sylwetkę tam, gdzie właśnie ze względu na wrodzoną wstydliwość starałyśmy się jak najmniej dotąd uwydatniać. Moda ta jednak ze względu na to, że wymaga dużej ilości materjału, nie przyjęła się zupełnie. Pomijając niewygodę, jaką znosiłybyśmy, przyzwyczajone do krótkich nieskomplikowanych, niekrępujących sukienek, proszę sobie wyobrazić, jak wyglądałby taki pokraczny fason, włożony na szczupłą, wysportowaną, ruchliwą sylwetkę dzisiejszej kobiety. Mam wrażenie, jednak, że większość Pań, zajętych czemś więcej, niż myślą o fatałaszkach, odrzuciłaby bez wahania tego rodzaju nieestetyczny wymysł.

Wśród ilustracyj w żurnalach mód widzimy model wspomnianej wyżej bluzki wieczorowej, bez rękawów. Jest ona zgrabnie udrapowana, zapięta niewidocznie w pasie na boku. Wykonana z bronzowego aksamitu harmonizuje ze spódniczką jedwabną tej samej barwy. Obok mamy fasonik z wełnianego rypsu, przybrany fantazyjnemi plisami, przechodzącemi u dołu w klosze. Tył tej sukienki posiada pośrodku dwie obok siebie leżące plisy, biegnące równo i prosto ku dołowi, aby przejść również w niewielkie klosze. Plisy te biorą początek w okolicy łopatek.

Mamy jeszcze sukienkę z wełenki w niewielką kratkę. Dwie plisy zprzodu i dwie jednakowe naszyte ztyłu są wykonane z materjału skrojonego ukośnie. Tak samo ukośnie są skrojone naszycia z boku na rękawach. Pasek ciemny, skórzany, dobrany do koloru guzików.

Estetyczna sukienka dla dziewczynki składa się ze spódniczki, wykonanej ze szkockiej, kraciastej wełny, oraz z bluzki gładkiej, przybranej tym samym materjałem, z którego jest uszyta spódniczka. Wreszcie ubranko dla chłopca z prążkowej wełny, gładkie i nieskomplikowane w kroju, posiada jako ozdobę, kołnierzyk z białej piki.

Nina Okuszko-Effenbergerowa

O ZŁYCH MĘŻACH I DOBRYCH ŻONACH

Jedna z najgłośniejszych literatek i publicystek nowoczesnej Turcji pani Suad Derwisz ogłasza kilka interesujących recept na wychowanie mężów, twierdząc kategorycznie, że żona przy odpowiedniej zręczności, cierpliwości i pewnem poświęceniu może osiągnąć wszystko, aby zabezpieczyć sobie szczęście w małżeństwie.

Wyznajmy szczerze — głosi mądra Turczynka — że jedyną przyczyną naszego smutku, naszych zmartwień, naszego szczęścia i naszej radości jest zawsze mężczyzna. Nie zaznajemy szczęścia jeżeli rażą nas jego wielkie i małe wady, jeżeli niechęć i niezadowolenie wzbudzają w nas jego niesympatyczne przyzwyczajenia. Ale to nie dowód, aby zaraz martwić się i gryźć: nic łatwiejszego bowiem jak naprawić wady mężczyzny. Co do mnie, nigdy w takich przypadkach nie płaczę, nie rozpaczam, nie kłócę się ani nie prowadzę z nim na ten temat żadnych rozmów — wychowuję go! Tak jest, wychowuję go, bo mężczyznę można wychować z tą samą cierpliwością, z jaką wychowuje się dziecko.

Jest tylko mała różnica w metodach wychowywania mężczyzny i dziecka. Aby wychować dziecko, jestem mniej lub więcej stanowczą i w każdym razie występuję z powagą i autorytetem — wychowując mężczyznę, staję się malutką, posłuszną i okazuję bezkrytyczny podziw dla jego autorytetu. Bo mężczyzna nie powinien nigdy odczuć, że się go wychowuje. Gdy tylko to odczuje staje się tem gorszy, nie podobna już dojść z nim do ładu, robi się do niemożliwości uparty. Jeżeli natomiast podchodzi się do niego ze sprytem i przebiegłością kobiety, to najkrnąbrniejszy staje się grzecznym jak baranek. Trzeba tylko wiedzieć, jak się do tego zabrać.

Chcąc wychować mężczyznę, trzeba najpierw wychować siebie samą, gdyż kobieta, która pragnie wychowywać mężczyzn musi odznaczać się dziesięcioma cnotami:

1. energją,
2. inteligencją,
3. kobiecym sprytem,
4. pogodnem usposobieniem,
5. zręcznością ukrywania swojej inteligencji a nieukrywania i nie tracenia dobrego humoru,
6. cierpliwością,
7. cierpliwością,
8. cierpliwością,
9. cierpliwością,
10. jeszcze raz cierpliwością.

Wychowanie mężczyzny trzeba rozpoczynać od pierwszego spotkania. Roztropna kobieta widzi w każdym mężczyźnie przeciwnika i jest ostrożną. Nie należy bowiem nigdy zapominać, że mężczyzna, któremu oddałyśmy nasze życie lub serce, był kiedyś dla nas człowiekiem zupełnie obcym. Bardzo często pod wpływem pierwszego wrażenia i pierwszego uczucia daje się mu prawa, które później napróżno staramy się odzyskać. To nigdy się nie uda.

Pierwsze wrażenia rzadko tylko dają się zatrzeć, to też należy od pierwszej chwili pamiętać o tem, aby wywierać pożądane wrażenie. Należy więc być: miłą, sympatyczną, skromną, wesołą, wybitnie zalotną, kobiecą, nieco dziecinną, bardzo łagodną, nigdy energiczną ani stanowczą, nigdy nudną, nigdy wymagającą, zawsze z pewną rezerwą.

Nie są to bynajmniej zalety, które są wrodzone — trzeba je w sobie kształcić, tembardziej, że stanowią one najskuteczniejszy pancerz przeciw przewadze mężczyzny w świecie, bez którego kobieta byłaby zgubioną.

* *
*

Jeżeli mąż nigdy nie ma czasu dla żony i nigdzie z nią nie wychodzi, nie trzeba pogrążać się w smutku, lub, broń Boże, okazywać zdenerwowanie. Trzeba go postawić wobec faktu dokonanego. Nigdy nie prosić ani nie wszczynać kłótni — to nie prowadzi do niczego i kończy się piekłem. W takim przypadku żona powinna np. kupić bilety do teatru, zrobić się piękną i przygotować wszystko, co mąż potrzebuje do ubrania się. Gdy wróci do domu trzeba oświadczyć mu, że ma się dla niego niespodziankę i zachowywać się tak, aby mężowi zdawało się, że żona okrutnie się cieszy, iż wpadła na taki pomysł i zrobiła mu tak miłą niespodziankę.

Gdyby pierwszy raz się nie udało, gdyby mąż gniewał się na takie rozporządzanie jego osobą, nie wolno okazywać zmartwienia. Nie należy zapominać, że chodzi tu o wychowanie męża i że to wymaga cierpliwości. W takim przypadku należy więc udawać zmieszanie i zakłopotanie z powodu takiej omyłki, można nawet głośno wyrzucać sobie, że się nie umie wyczuć, co mężowi mogłoby sprawić przyjemność, a przy tej okazji należy przymilnie zapewniać go, że omyłkę popełniło

się w najlepszej wierze i tylko w tej myśli, by mu się przypodobać i sprawić mu miły wieczór. Mężczyźni nie są bez serca — możecie w to wierzyć. — Mąż będzie się szczerze martwił zmartwieniem żony i będzie głęboko niem wzruszony. A ponieważ bilety zostały już kupione, ponieważ ubranie jego jest już przygotowane zapewniam was, że pójdzie do teatru i w dodatku będzie bardzo miły.

Ale trzeba zdobyć go trwale dla dobrej sprawy. Należy więc być przez cały wieczór miłą, wesołą i zajmującą towarzyszką dla niego. W dyskretny sposób trzeba mu zwrócić uwagę na różne drobne przyjemności takiego wspólnego spędzenia wieczoru wśród ludzi, ale gdy zechce pójść już do domu, nie wolno go zatrzymywać. Później nie będzie trzeba prosić go — sam znajdzie czas, aby wyjść razem z żoną.

Gdy się chce, aby mąż zachowywał się przyzwoicie przy stole, aby nie okazywał głośno niezadowolenia z potraw, aby nie czytał gazety przy obiedzie i t. p. trzeba wystąpić z pewną stanowczością, wyrażając pewne określone życzenia co do jego zachowania się przy stole. Pozatem jednak mąż musi czuć się przy stole swoim jak najmilszy gość swojej żony. Nie znaczy to jednak, by miał się zaraz czuć tak jak u siebie w domu. Nakrycie jego powinno być zawsze starannie i z pewną kokieterją ułożone, obrus śnieżno biały, świeże kwiaty i starannie ubrana żona. Jeżeli w takich warunkach coś mu się nawet nie spodoba, nie odważy się głośno zdradzać swego niezadowolenia, unikać będzie nawet aluzyj i docinków, widząc na każdym kroku dobrą wolę żony i chęć wyróżnienia go.

Nie należy nigdy zbyt często dawać mężowi jego ulubionych potraw — aby zawsze gdy je otrzyma czuł się zobowiązany do wdzięczności za taki podarek.

* *
*

Mąż pani jest niestaranny? Nie zwraca uwagi na swoje ubrania, nie pielęgnuje rąk, bywa zawsze niedbale ogolony? O, to bardzo źle! Mężczyźni, którzy w ten sposób się zaniedbują, przywiązują się do takiego niedbalstwa namiętniej niż kobiety do zbytków toaletowych.

Skoro więc tak jest, to radzę pani usilnie, nie wszczynać z mężem rozmowy na ten temat. Mężczyźni nie zwracają uwagi na krytykę i stają się łatwo uparci. Zato niechaj pani zacznie interesować się zawartością jego szafy ubraniowej i zapasami jego bielizny. W dyskretny sposób niech pani zainteresuje się jego zakupami. Gdy wybiera się do krawca, niech pani tak się urządzi, aby „przypadkowo" pójść tam z nim. A gdy pani spodoba się jakiś materjał, niechaj pani zapewnia męża, że w tem byłoby mu „cudownie do twarzy" — ręczę pani, że uwierzy, chociażby materjał był najbrzydszy. Mężczyźni są często jak próżne dzieci i wierzą w powaby, których wogóle nie mają. A gdy zacznie oglądać materjał, który mu pani podsunęła, niech pani natychmiast zmienia taktykę i zacznie go ostrzegać, aby czasem nie zwracał uwagi na pani gust, lecz wybierał według swego uznania. Niech go pani zapewni, że pani się na materjałach męskich nie zna i że on ma stanowczo lepszy gust. Tem pewniej wybierze właśnie to, co pani się spodobało.

Pochlebstwem można wszystko u męża osiągnąć. Dobrze jest także zrobić mu czasem mały prezent, nadający się do jego ubrania — a jeśli sam czasem coś sobie kupi i zacznie nosić, trzeba z zachwytem przekonywać go, że okazał najlepszy smak, i że jest podziwu godnym elegantem.

W ten sposób powoli, ale zato tem mocniej zacznie interesować się swoim zewnętrznym wyglądem, nabierze upodobania w dobrze skrojonych i gustownych ubraniach — ale to wymaga czasu i wiele, wiele cierpliwości.



* *
*

Często zdarza się, że na męża przychodzi fala zniechęcenia, że zaczyna tracić wiarę w siebie i swoje powodzenie życiowe. Zaniedbuje się wówczas w pracy i nie może ruszyć naprzód w karjerze życiowej. W takich wypadkach fałszywe postępowanie żony może łatwo skończyć się katastrofą egzystencji całej rodziny.

Żona nie powinna za nic w świecie robić mężowi jakichkolwiek zarzutów. Zarzutami, narzekaniami i wymówkami można wszystko zepsuć. Nie wolno dać mężowi odczuć, że nie ma się zaufania do jego zdolności i energji — nie wolno mu dawać żadnych rad.

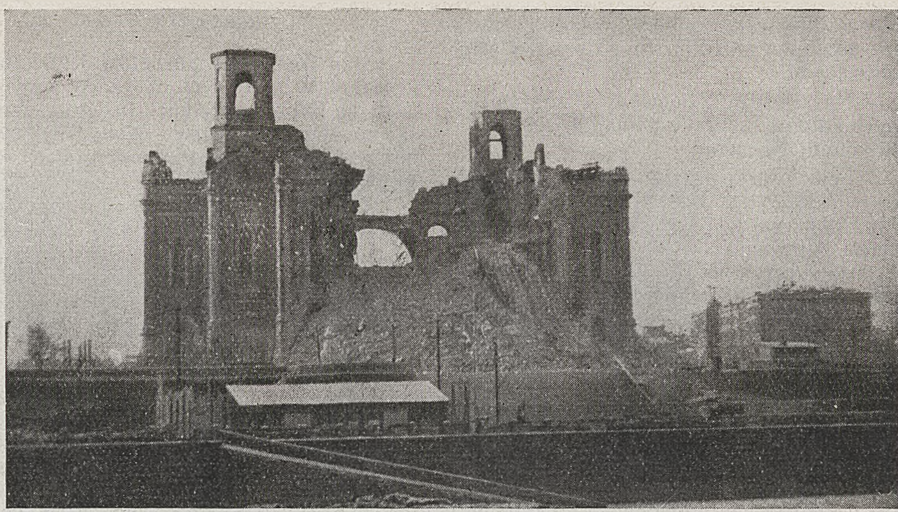
Mężczyzna chętnie oddaje się złudzeniom i uważa się za inteligentniejszego niż żona, względnie każda kobieta. Tego złudzenia nie wolno mu zabierać. Lubi bardzo gdy żona go podziwia — ba — może nawet potrzebuje tego. Jeżeli więc żona chce, aby mąż miał powodzenie w życiu, aby był zawsze pełen wiary w swoje siły i swoje zdolności, powinna tak się zachowywać, jakby oczekiwała cudów od niego. Jeżeli sama ma jakieś dobre pomysły powinna mu je suggerować, wmawiając mu, że są jego własne i podziwiając je.

Mężczyzna nigdy nie chce stracić podziwu i zaufania kobiety, będzie więc wytężał wszystkie siły, aby je usprawiedliwić.

* *
*

Nowoczesny mężczyzna nie poświęca już tyle uwagi żonie co dawniej. Jeżeli żona cierpi skutkiem tego, jeżeli ma w sobie tyle kobiecości, że chciałaby spotykać się często z temi licznemi drobnemi dowodami pamięci ze strony mężczyzny, które niekiedy kobiecie są wprost do szczęścia potrzebne, to w żadnym razie nie wolno jej z powodu ich braku okazywać zmartwienia. Aby mąż stał się uważniejszym wobec żony, musi ona postępować tak, aby nigdy nie był pewny, że posiada całkowicie jej uczucia. Nigdy nie powinien sądzić, że zna swoją żonę do ostatniego zakątka jej duszy. Trzeba się zdobyć na pomysłowość i być dlań ciągle inną, jakby nową, nieznaną. Wtedy będzie uważny.





Sobór Zbawiciela w Moskwie przed zburzeniem i po wysadzeniu przez bolszewików w powietrze

Z MIESIĄCA

W STOLICY I W KRAJU

Sejm Rzeczypospolitej zebrał się po miesięcznych przymusowych ferjach na sesję budżetową. Ferje te nie stanowią bynajmniej pochlebnego świadectwa dla przedstawicielstwa narodowego, które w czasie coraz bardziej pogłębiającego się kryzysu niema widać nic do powiedzenia. Kryzys pogłębia się. Liczba bezrobotnych wolno ale stale wzrasta. Prof. Stanisław Grabski zamieścił na łamach „Kurjera Lwowskiego" artykół, w którym zastanawia się nad przyczynami światowego kryzysu gospodarczego. Prof. Grabski twierdzi, że naczelną przyczyną kryzysu światowego jest inflacja kredytowa, wywołana spekulacją założycielską amerykańskich koncernów bankowych. Prof. Grabski zwalcza twierdzenie, jakoby istniała nadprodukcja. Nie można mówić o nadprodukcji, gdy miljony ludzi nie dojadają, chodzą źle odziane i nie mają niezbędnych sprzętów domowych i narzędzi. Fabryki nie mogą zbyć swych towarów nie dlatego, że ich jest za wiele, lecz ponieważ na zakupienie towarów nie wystarcza siła nabywcza społeczeństw.

W Warszawie gościł jugosłowiański minister spraw zagranicznych Voisław Marinkovic. W ministerstwie spraw zagranicznych nastąpiło podpisanie porozumienia między Polską a Jugosławją o stosunkach naukowych, szkolnych i artystycznych.

Następnie wymieniono dokumenty ratyfikacyjne konwencji konsularnej między Polską a Jugosławją, podpisanej w Białogrodzie 6 marca 1927 r. Minister Marinkovic złożył wizytę p. Marszałkowi Piłsudskiemu; rozmowa trwała 1½ godziny.

W Wiedniu wykryto fabrykę fałszywych znaczków pocztowych polskiej poczty. W mieszkaniu drukarza Izaaka Wagnera znaleziono 3.000 arkuszy po 150 25-ciogroszowych znaczków każdy. Ponieważ zachodziło podejrzenie, że partja falsyfikatów została już wysłana do Polski, Minister Poczt i Telegrafów rozporządzeniem z dnia 1 grudnia b. r. unieważnił 25-groszowe znaczki pocztowe.

Cała opinja katolicka Polski zwróciła się przeciw projektowi prawa małżeńskiego, opracowanego przez Komisję Kodyfikacyjną, oraz przeciw ściśle z tym projektem łączącemu się projektowi ustawy o aktach stanu cywilnego. Wszyscy biskupi polscy wydali orędzie do katolików, aby uczynili wszystko, co w ich mocy, aby przeciwny prawu Boskiemu projekt prawa małżeńskiego został pogrzebany. Stanowisko Episkopatu Polskiego aprobował z uznaniem Ojciec święty. W kraju odbyły się liczne zebrania zrzeszeń, stojących na gruncie katolickim, które uchwaliły rezolucje, protestujące przeciw projektowi prawa małżeńskiego.

Projekt ustawy o aktach stanu cywilnego wprowadza nową kategorję urzędników i wysokie opłaty za poszczególne świadczenia, jako to: odpisy aktów, zapowiedzi, ślubów i t. p. Kwestja religji będzie w aktach stanu cywilnego zupełnie pominięta, księżom i osobom duchownym nie wolno będzie prowadzić akt stanu cywilnego. Jeżeli narzeczeni biorą ślub w kościele, muszą załatwić uprzednio czynności przedwstępne u urzędnika stanu cywilnego i mieć od niego zaświadczenie o braku przeszkód do małżeństwa. Bez takiego zaświadczenia ślub jest nieważny, a pozatem grozi odpowiedzialność karna tak duszpasterzowi jak nowożeńcom.

W miastach uniwersyteckich Polski miały miejsce pożałowania godne wystąpy antysemickie młodzieży akademickiej. W Wilnie został zabity student ś. p. Stanisław Wacławski. Zajścia powstały na tle żądania młodzieży chrześcijańskiej, aby dla żydów wprowadzono numerus clausus i aby żydzi musieli dostarczać do prosektorjów zwłok żydowskich. Wszędzie policja rozpraszała demonstrujących akademików.

W okręgu przemyskim odbyły się ponowne wybory do sejmu, ponieważ dawne zostały unieważnione przez Sąd najwyższy. Prasa opozycyjna twierdzi, że i przy tych wyborach miały miejsce liczne nadużycia i że należy się liczyć z ponownem zaskarżeniem wyborów.

Proces t. zw. brzeski dobiega końca. Badanie świadków trwało przeszło miesiąc. Wyroku będzie się można spodziewać bezpośrednio przed świętami Bożego Narodzenia. Przewód sądowy odsłonił ponurą rzeczywistość polskiego życia politycznego. Oskarżenie oparte zostało prawie przeważnie na zeznaniach funkcjonarjuszów policji i konfidentów policji. Jako świadków odwodowych przesłuchał sąd szereg wybitnych polityków, między innymi W. Korfantego, b. premjera prof. Bartla i marsz. Trąmbczyńskiego. Prasa zagraniczna, a szczególnie francuska, żywo reaguje na proces. We Francji proces ten wywołał bardzo przykre wrażenie.

W Warszawie odbył się staraniem syndykatu dziennikarzy uroczysty obchód 15-tej rocznicy śmierci Henryka Sienkiewicza, zmarłego 15 listopada 1916 r. w Vevey nad Lemanem.

NIEMCY

Socjal-demokraci złożyli kanclerzowi Brueningowi memorjał w sprawie terroru, stosowanemu przez hittlerowców i bezczynności władz bezpieczeństwa wobec prowokowanych przez hittlerowców zajść. W licznych wypadkach policja nie tylko nie interwenjowała przeciw hittlerowcom, lecz wyraźnie im dopomagała.

W Hesji wykryto u hittlerowców dokumenty, z których wynika, że planowali oni w najbliższym czasie przewrót. Zamierzali oni objąć władzę najprzód w Hesji a następnie w całem państwie. Dokumenty zawierają nietylko gotowy projekt samego przewrotu, lecz również szereg drakońskich zarządzeń i rozkazów na wypadek objęcia władzy. Między innemi projekty przewidują za najmniejszy opór władzy hittlerowców karę śmierci. Dokumenty te, które uważane są przez władze za zdradę stanu — przekazano prokuraturze. Mimo twierdzenia sfer prawicowych, że dokumenty — o ile nie są wogóle sfałszowane — są samorzutnem wystąpieniem hittlerowców w Hesji, badanie wykazało, że dokumenty zostały sporządzone w porozumieniu z centralą narodowych socjalistów w Monachjum, a więc Hittler musiał o nich wiedzieć.

Wybory do rad gminnych w prowincji Birkenfeld, należącej do księstwa Oldenburg, hittlerowcy odnieśli nowe zwycię-

stwo, zdobywając o 100% więcej głosów, niż do sejmu oldenburskiego przed pięciu miesiącami.

Na zjeździe Niemców z zagranicznych kolonij, wszyscy domagali się zwrotu kolonij Niemcom.

Sejm pruski przyjął wniosek prawicy o zwrócenie się do rządu Rzeszy, aby rząd domagał się rewizji planu Younga, celem zupełnego skreślenia spłat reparacyjnych. Stronnictwa lewicowe wstrzymały się od głosowania.

Minister Groener, udzielając wywiadu przedstawicielowi „Chicago Tribune", oświadczył, że Niemcy dążyć będą do jednakowego rozbrojenia wszystkich państw. Minister Groener zapewniał, że organizacje w rodzaju Stahlhelmów, Reichsbanneru i oddziałów szturmowych Hittlera nie są organizacjami wojskowemi, lecz celem ich jest tylko ćwiczenie sportowe i zahartowanie młodzieży. Może ma rację!? U teutonów bowiem zaborczość i grabież cudzej ziemi jest najmilszym sportem. inaczej trudnoby zrozumieć, poco tym niewinnym „towarzystwom gimnastycznym" potrzebne takie akcesorja sportowe jak... karabiny maszynowe i granaty.

Rząd Rzeszy walczy z ogromnemi trudnościami gospodarczemi. Zniżka płac urzędniczych i robotniczych wskutek protestu socjal-demokratów została odroczona do czasu praktycznego zrealizowania zniżki cen. Narazie przewiduje się zniżki komornego, zniżki taryf kolejowych i t. p.

Związek przemysłu i handlu niemieckiego występuje ostro przeciwko dekretowi o pomocy wschodniej i żąda wydania postanowień, zabezpieczających pretensje wierzycieli.

Niemcy wyludniają się. Przyrost ludności wynosił w pierwszej połowie 1931 r. około 143 tysięcy, a w takim samym czasie roku ubiegłego 214 tysięcy. Liczba zawartych małżeństw jest o 30 tysięcy mniejsza, niż w roku ubiegłym.

AUSTRJA

Austrja prowadzi rokowania z wierzycielami zagranicznymi austrjackiego zakładu kredytowego. Chcąc uchronić ten zakład od bankructwa, rząd austrjacki wziął na siebie odpowiedzialność za ten zakład, a obecnie pragnąłby ją zrzucić. Wierzyciele stawiają bardzo ciężkie warunki; pragną mianowicie wziąć w zastaw lub przejąć na własność cały koncern przemysłowy Kreditanstaltu. W czasie rokowań szyling spadł o 40%, jak się okazało za sprawą wierzycieli Kreditanstaltu. Zmusiło to rząd austrjacki do ustępstw. Chłopi austrjaccy domagają się zaprzestania ściągania podatków na czas przesilenia gospodarczego.

Austrja popadła w ostry zatarg z Jugosławją na tle ograniczeń dewizowych. Jugosławja mianowicie wydała cały szereg zarządzeń odwetowych, a nawet minister skarbu upoważnił bank emisyjny do zawieszenia ruchu dewizowego z Austrją. Zarządzenia te wywarły w sferach handlowych i przemysłowych Austrji przygnębiające wrażenie.

Według wiadomości podawanych przez organ Landbundu „Neues Wiener Extrablatt", legitymiści przygotowują się zarówno w Austrji jak na Węgrzech do wprowadzenia monarchji.

SOWIETY

Stan finansowy Sowietów jest katastrofalny. W niektórych okręgach, a zwłaszcza na Syberji urzędnicy już drugi miesiąc nie otrzymują pensyj. Zachodziły również wypadki niewypłacenia należności robotnikom.

Akcja magazynowania zboża zawiodła, wykonano bowiem tylko niewielki procent zamierzonego planu. Na Ukrainie chłopi i kolektywy ukrywają zboże w obawie, iż wskutek forsownego wywożenia zboża wgłąb Rosji, na Ukrainie zapanuje głód. Bolszewicy organizują robotnicze brygady szturmowe w celu rekwizycji zboża, jednak i to nie wiele pomaga, mnożą się natomiast wypadki zabójstw członków brygad, jak również napadów i odbijania zarekwirowanego zboża. Nie pomaga również stosowanie drakońskich kar za ukrywanie zboża, dochodzących do 6 lat więzienia na osławionych wyspach Sołowieckich. Z takim trudem zdobyte zboże wywożą Sowiety za granicę po cenach dumpingowych.

Aby uniknąć rozgłosu, bolszewicy zaprzestali przesyłania złota dla niemieckiego banku Rzeszy drogą kolejową przez Łotwę i Polskę, wysyłają natomiast złoto niewielkiemi partjami w walizach kurjerów dyplomatycznych.

Łunaczarski podczas pobytu w Wiedniu na konferencji prasowej wyraził pogląd, że obecnie przeżywany kryzys ma znaczenie historyczne w skali światowej. Zdaniem Łunaczarskiego jedynem wyjściem z obecnej sytuacji jest komunizm.

FRANCJA

We Francji liczba bezrobocznych, która stale wzrasta, wynosi obecnie według obliczeń kierownictwa francuskich związków robotniczych przeszło ½ miljona. Izba deputowanych skłania się do zorganizowania wielkich robót publicznych, wprowadzenia na rzecz bezrobotnych procentowych opłat z prac robotników pracujących, oraz wprowadzenia w pewnych wypadkach zakazu przyjmowania robotników obcokrajowców.

Premjer Laval oświadczył w parlamencie, iż powiedział kanclerzowi Rzeszy, że Francja nie prędzej udzieli Niemcom pożyczki, aż gdy nastąpi odprężenie umysłów, t. j. gdy Niemcy zrezygnują z roszczeń co do korytarza polskiego i Anschlusu, oraz o ile manifestacje Stahlhelmowców będą stłumione.

W czasie kongresu rozbrojeniowego zaszedł znamienny incydent. Painleve w podniosłej, patrjotycznej mowie wyliczył wszystkie tajne i chemiczne zbrojenia Niemiec i oświadczył, że sumienie nie pozwala mu rzucić losu Francji na stół gry hazardowej. Delegaci polscy Lednicki i Stroński zabierali głos kilkakrotnie, broniąc słusznych tez polskich z niespodziewanem powodzeniem.



Ś. p. Kamil Mackiewicz artysta malarz zmarł tragicznie w Warszawie.

ANGLJA

Anglja wprowadziła cła ochronne na szereg artykułów. Rząd angielski zamierza roztoczyć opiekę nad rolnictwem przez wprowadzenie ceł i subsydjowanie producentów pszenicy. Minister rolnictwa zażąda prawdopodobnie takich samych pełnomocnictw, jakie ustawa dumpingowa daje ministrowi handlu.

Funt angielski uległ dalszej zniżce wskutek obaw, jakie wywołują spodziewane ogłoszenie moratorium Węgier i Austrji, oraz obawa przewrotu politycznego w Niemczech.

Spodziewane dalsze nałożenie ceł na towary importowane dotknie prawdopodobnie również polski eksport do Anglji, a mianowicie: naczynia kuchenne, wyroby drzewne, przędzę, towary łokciowe, ubrania gotowe, oleje, smary i wyroby skórzane.

WĘGRY

Węgry przeżywają głęboki kryzys finansowy. Zapas dewiz w Banku Węgierskim jest na wyczerpaniu i prawdopodobne jest ogłoszenie moratorium. Rząd węgierski wnosi do parlamentu projekt ustawy o obniżenie pensyj urzędniczych o 10% i zwiększenie czasu służby do 40 lat (inaczej niż u nas!).

HISZPANJA

W Hiszpanji kortezy (parlament) skazały b. króla Alfonsa XIII za zdradę stanu, naruszenie konstytucji i gwałcenie porządku prawnego na wyjęcie z pod prawa i utratę praw do majątku, który przechodzi na własność republiki. Wobec tego każdy obywatel będzie mógł aresztować b. króla, skoro powróci do Hiszpanji.

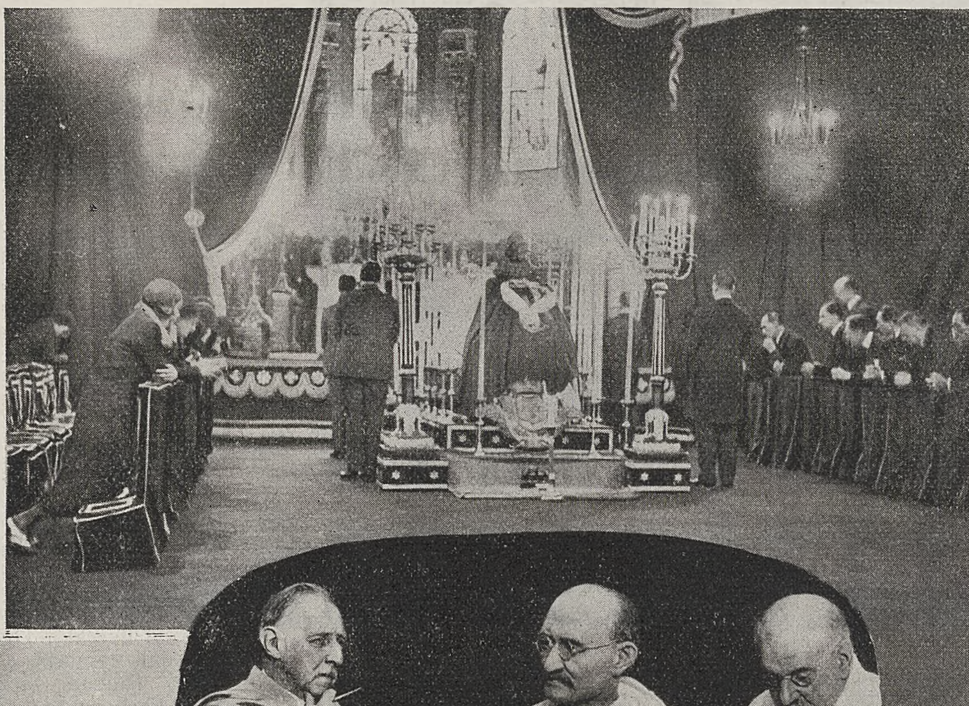
WŁOCHY

W Rzymie toczy się przed specjalnym trybunałem proces przeciw 57 Słoweńcom. Akt oskarżenia zarzuca im, że dążyli do oderwania od Włoch i przyłączenia do Jugosławji prowincji Wenecja Giulia, oraz, że przygotowywali zbrojne powstanie i tajne organizacje wojskowe, które w razie wojny miały działać na tyłach armji włoskiej. Nadto zarzuca się oskarżonym dokonanie w ciągu ostatnich 4 lat — 30 napadów zbrojnych na żołnierzy faszystowskich, 13 zabójstw politycznych, 13 podpaleń szkół i budynków wojskowych i 8 zamachów terrorystycznych.

ZATARG CHIŃSKO-JAPOŃSKI

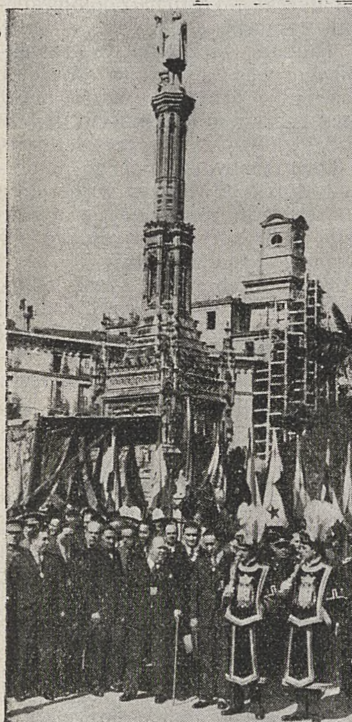
Po zwycięstwie Japończyków nad wojskami generała Maa, odniesionem pod Cicikarem, Japończycy stali się faktycznymi panami Mandżurji, niema bowiem w Chinach armji narodowej, którą możnaby było przeciw Japończykom wysłać.

ZE ŚWIATA



Pogrzeb księcia Infanta de Bourbon-Parma w Viaregjo (Włochy). W środku podobizna Gandhiego z wosku dla muzeum m. Tussaud w Londynie

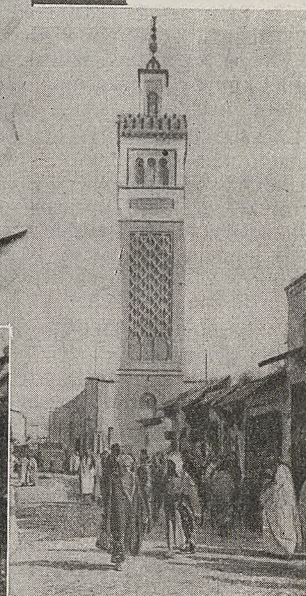




Uroczystości w Madrycie ku uczczeniu odkrycia Ameryki



Święto katolickiej młodzieży w Brukseli



Meczet El Bechir w Tunisie



Grono kolegów z Zarządu Oddziału Radomskiego Z. Z. L., żegnających Nadleśniczego inż. Jerzego Śladka

Jednak po bitwie wojska japońskie wycofały się do strefy południowo-mandżurskiej linji kolejowej. Stało się to prawdopodobnie pod naciskiem Stanów Zjednoczonych, które wysłały do Tokio specjalnego delegata, oraz zapowiedziały odwołanie swego przedstawiciela w Japonji na wypadek, gdyby wojska japońskie nie zaprzestały ofenzywy.

Liga narodów po trzechtygodniowych obradach nad sposobami zlikwidowania zatargu chińsko-japońskiego zaaprobowała projekt rezolucji, opracowanej przez komitet redakcyjny. Rezolucja żąda, aby Chiny i Japonja przedsięwzięły odpowiednie kroki w celu usunięcia wojska japońskiego z terenu okupacji.

Komisja studjów Dalekiego Wschodu, która ma prawo przedłożyć Lidze narodów, każdej chwili raport, o ileby zauważyła, że któraś ze stron naruszyła swe zobowiązania, składać się będzie z 5 członków, przyczem Chiny i Japonja będą w niej reprezentowane przez asesorów, po jednym z każdej strony.

Esbe

Z NADLEŚNICTWA SUCHEDNIÓW.

W dniu 1/X 1931 r. przeniesiony został do Dyrekcji Lasów we Lwowie Nadleśniczy Nadleśnictwa Suchedniów inż. Jerzy Śladek — długoletni Vice-Prezes Radomskiego Oddziału Związku Zawodowego Leśników Rzplitej Polskiej. Zarówno na stanowisku Nadleśniczego, jak i Vice-Prezesa Oddziału zjednał sobie kolega Śladek wielką sympatję swych podwładnych i kolegów przez swoje objektywne ujmowanie spraw.

Życzymy Mu, by na nowej placówce cieszył się nie mniejszem powodzeniem.

J. R.

Z NADLEŚNICTWA PRZEWODNIK

W dniu 3 listopada 1931 r. personel Nadleśnictwa Przewodnik (Dyrekcja Lasów Państwowych w Bydgoszczy) pożegnał nadleśniczego p. Rajmunda Goebla który kończąc w lipcu r. b. 65 lat życia przeszedł na własną prośbę na emeryturę.

Władze naczelne w zrozumieniu ogromu pracy i trudów a przedewszystkiem w uznaniu osiągniętych rezultatów przyznały p. Goeblowi Srebrny Krzyż Zasługi.

W długoletniej współpracy personel nadleśnictwa miał możność przekonać się o niezwykłych zaletach umysłu i serca swego kierownika, to też z żalem Go żegna w swem gronie i z całego serca życzy długiego zasłużonego odpoczynku wśród lasów tatrzańskich, w których w młodych latach rozpoczął służbę leśnika i które tak polubił.

Współpracownik

W „ODPOWIEDZI TREVIRANUSOWI"

Do redakcji „Ech Leśnych" w dalszym ciągu wpłynęły następujące ofiary: od personelu Nadleśnictwa Kielc — 35 zł, p. Bol. Burszewski — 5 zł, p. Ign. Dziobek — 5 zł, personel Nadleśnictwa Gołąbek — 18.50 zł, personel N-ctwa Maków — 32.67. Razem dotychczas zebrano — 1.228,88 zł.

Z sumy tej wpłacono do Komitetu Głównego budowy łodzi podwodnej „Odpowiedź Treviranusowi" 30.11. 30 r. — 186,75 zł, 31.XII. 30 r. — 360,36 zł, 8.IV. 31 r. — 630,10 zł. Razem — 1.177,21 zł.

NA POWODZIAN W WILEŃSZCZYŹNIE

wpłynęły do Redakcji „Ech Leśnych" ofiary od pracowników i robotników leśnych Nadleśnictwa Lublin — 50 zł, od personelu N-ctwa Suche - Sławki dóbr Krasne — 35 zł. Razem — 85 zł.

ZEBRANIE ORGAN. T-WA PRZYJACIÓŁ MUZEUM PRZYRODNICZEGO.

W dniu 12 b. m. odbyło się przy udziale licznych przyrodników i miłośników przyrody oraz przedstawicieli Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zebranie organizacyjne Towarzystwa Przyjaciół Państwowego Muzeum Przyrodniczego, któremu przewodniczył dyrektor Ogrodu Zoologicznego dr. Jan Żabiński.

Dr. Tadeusz Jaczewski, w zastępstwie nieobecnego dyrektora Muzeum Przyrodniczego prof. Roszkowskiego, przedstawił zebranym stan obecny tej instytucji i dał główny zarys przyszłej działalności Towarzystwa, mającego współpracować z dyrekcją Muzeum w kierunku dalszego rozwoju zasłużonej placówki naukowej i budzenia odpowiedniego zainteresowania w społeczeństwie.

Po dyskusji zebrani powzięli jednogłośną uchwałę konstytuującą i wybrali komisję organizacyjną, w skład której weszli pp. prof. dr. Jan Lewiński, p. J. Orłowska, dr. A. Rząśnicki, dr. P. Słonimski i red. J. M. Taylor.



Grupa współpracowników Nadleśniczego p. R. Goebla

J. CZARNECKI.

W WIGILIJNĄ NOC

(NOWELA)

Miasto jest okrutne. Tyle jest w niem ulic, które prowadzą zewsząd i wiodą do nikąd. Tyle domów, lecz w żadnym niemasz schronienia. Pójdziesz w prawo, czy w lewo, zawsze trafisz na rozstajny róg, gdzie hula wiatr i pyta, niby policjant, groźnie i szyderczo:

— Gdzie mieszkasz, włóczęgo?

Janek skulił się w sobie z zimna i grozy na myśl, że na to pytanie nie umiałby dać żadnej odpowiedzi. Mieszkanie jego było wszędzie i nigdzie — całe miasto mogło go przytulić na sen i w całem mieście nie było jednocześnie dlań miejsca. Ostatnią noc spędził na podmurówce pałacu Staszyca. Nie on jeden. Do zimnych murów tuliło się kilkoro osób. Stare, przesiąkłe wilgocią łachmany, służyły za okrycie, zwinięta pięść za poduszkę, gorycz i rozpacz w sercu za ciepły piec. Lecz — mój Boże — gdy się cały dzień przewałęsało po mieście, gdy nogi odmawiają posłuszeństwa i plączą się bezładnie, gdy omdlewa się z głodu i przemęczenia, trudno się zastanawiać nad tem, czy nocleg będzie wygodny i ciepły.

Walisz się jak kłoda gdziekolwiek i śpisz jakkolwiek. Chrapliwy oddech, dobywający się z ziębniętych piersi — świadczy, że żyjesz i alarmuje przechodzącego posterunkowego. Błogosławiona to rzecz, jeśli nie zechce on spędzić cię z tego nielegalnego legowiska.

Cny obywatelu, który na miękkim materacu wyciągasz swe szlachetne kości — pomyśl, jak niemiło przerywać sen na kamieniach pałacu Staszyca, wlec się przez miasto za nowym noclegiem i znaleźć go w końcu na przewiewnej ławce w Alejach, albo na stosie marmurów pod arkadami wiaduktu. Prawda — marmury piękne i błyszczą się na nich złocenia starych cerkiewnych mozaik, których wspaniałością chciał car Wszechrosji pognębić dumnych Polaków. Ale marmury te takie zimne i nieprzytulne.

A tymczasem u stóp pałacu Staszyca tak się pięknie spało. Już człowiek się przyłożył wygodnie, już dopasował do załomu muru, już wygrzał sobie legowisko. A oddech ciepławy pobliskiego okna piwnicy owiewał błogością, niby oddech matki, tulącej swe dziecię do łona.

Śniło się słodko i szczęśliwie o minionem życiu, o przyszłych radościach.

Przymykające się, senne oko pochwyciło majaczącą w pobliżu sylwetkę Kopernika z globusem w ręku. Ach, cóż to za wspaniała bułka, a może jabłko. — Chwycić je, wgryźć się zębami do jądra, do smakowitego miękiszu...

I... gryziesz przez sen swą chudą, zabrudzoną dłoń — gryziesz aż do krwi.

— Hej włóczęgi, wstawać! Ja wam pokażę spać w takiem miejscu! — huczał bas gorliwego stróża bezpieczeństwa.

Zachrzęściły pokryte szronem łachmany, wzdęły się niby wrzód... — Wyprysnęły z pod nich pokraczne postacie, o zmartwiałych od zimna twarzach, o dzikich, rozpaczą załzawionych oczach. Zmięte, skurczone, zbrudzone — karykatury człowiecze.

Janek nieprzytomnie spogląda przed siebie i mieszają mu się rzeczy i ludzie: Kopernik i policjant, globus i jabłko — sen i rzeczywistość. Kopernik ma taką złą twarz. Globus, który trzyma w ręku, obmarzł i przypomina olbrzymią śnieżkę. Zamierzył się nią na Janka i chce weń rzucić. Blady przestrach chwycił Janka za gardło, poderwał go jak wiatr podrywa wątłą słomkę i rzucił przed siebie, na oślep, w ponurą głąb ulicy, ledwie majaczącej w rozświtach zimowego ranka. Echo jego kroków brzmi jak wyrzut sumienia, jest niezbrojnym, zalęknionym buntem przeciw zmowie dobrze zadomowionej wygody ludzkiej gromady.

Jak uskrzydlony pędzi Janek, a za nim huczy niby lawina śnieżna krzyk władcy ulicy:

— Ty łobuzie! Ty pchło bezdomna! Ja ci pokażę!

Ten krzyk chłoszcze go, jak bicz konia w treningu. Pędzi więc, choć tchu brak w piersiach, choć ostry, przejmujący ból kłuje pod sercem. A siłą przeciwieństwa zaczyna mu dzwonić w uszach dalekie echo matczynego pieszczotliwego upomnienia.

— Nie męcz się, kochanie! Nie biegaj zbyt szybko! I po co? Życie ci nie ucieknie, a śmierci nie warto gonić.

Oho! Śmierć! Co to jest śmierć? Co to jest życie? Jeżeli życie jest to krzyk głodnych ust, jeżeli życie jest spazm wyczerpanych piersi, jeżeli życie to dreszcz nagiego ciała — to może lepiej umrzeć! A śmierć? Zali jest ciszą, sytością, spokojem, ciepłem — i miłością.

— Biedna matula — kochana myśli Janek i jej musi być zimno w mogiłce, w przemarzłej ziemi, wśród czterech desek trumny, na garści wiorów! I nawet pobiegać nie może, gdy bardzo ziębnie!

Więc może lepiej żyć! Lecz po co?

— Mamo! mamo! gdzie jesteś? — krzyczy Janek, a rozpaczliwy głos obija się w pustym mrocznym wąwozie ulicy i rani się o twarde ściany i kaleczy o ostre krawędzie murów — głuchnie przy ziemi, nie sięgając nawet dachów, a cóż dopiero nieba, do którego poszła mama Janka — jak mu to powiedzieli na jej pogrzebie.

— Mamo, mamo! Chcę jeść! Jeść! Jeść!

Biedny Janek przypadł do murów i łka i zawodzi i jęczy. Wątłą jego postacią wstrząsa dreszcz cierpienia.

Cierpienie — głód i nędza — szkoła życia, akademja charakterów, droga na pomniki sławy i na... cmentarze.

Spłakany, ze łzami na twarzy — snuje się Janek przez miasto, takie wielkie, takie potężne, takie bogate i tak nieludzko obce maluczkim, słabym, ubogim.

Janek nikogo nie oskarża, przed nikim się nie żali, zdaleka omija posterunki policyjne, tylko idzie naprzód, — bo iść trzeba wciąż, trzeba iść, wszystko jedno dokąd, niewiadomo po co, byle przed siebie. Móc iść — to już szczęście!

I ci potężni i bogaci, których twarze śmiech, a nie płacz wykrzywia — czy zawsze wiedzą dokąd idą i czy zawsze są szczęśliwi? Wszystkie pragnienia już zaspokoili. A móc pragnąć czegoś nowego — to także szczęście!

Janek — chce jeść. Przywarł całem ciałem do wielkiej, błyszczącej szyby, za którą piętrzą się stosy kiełbas, zwiniętych w koła.

Och! Jakie ponętne! Tłuste, smaczne. Na spierzchłe od zimna wargi cieknie mu ślinka pożądania. Porwać tak jedną z nich. Rzucić kamieniem w wystawę — niech jęknie, niech pęknie, niech pryśnie, niech otworzy drogę tej tłustej obfitości, co tam daremnie spoczywa bez ruchu, bez pożytku. Tyle głodnych ust, tyle pustych żołądków, tyle wynędzniałych istnień! — Ach dostać taką kiełbasę! Aż go olśniło na myśl, że tłuściutki, niby wąż śliski, zwój kiełbasy mógłby się znaleźć w jego ręku.

Przymknął oczy pod tchnieniem myśli o takiej rozkosznej niespodziance, lecz z pod spuszczonych powiek, przez kraty rzęs, niby więzień, wytryska chciwe, pożądliwe pragnienie i woła i krzyczy protestem: szybie sklepowej, miastu, światu całemu, niebu, ludziom i Bogu! — Głodny jestem! Głodny! Głodny!

Nagle wydało mu się, że jeden z kręgów kiełbasy stoczył się i przedostał na ulicę. Oto już jest na chodniku, oto toczy się ku niemu. Minął go i w szalonych, radosnych podskokach pędzi przez miasto; za rogatki ku polom i łąkom. A on, Janek, niby za kółkiem rozbawione dziecię, podąża hen, precz z tego miejskich murów więzienia, od swego żałosnego losu ku wolności i swobodzie, z twardych, bolesnych uścisków mroźnej zimy ku radosnej, wesołej, ciepłej wiośnie. — Jak ongiś! Bo oto zmienił się też krajobraz. — Zniknęły śniegi, wesoła zieleń barwi pola i lasy znane mu, bliskie, kochane; jest kwieciście, wonnie i ciepło, ach jak ciepło. Słodkie ciepło zalewa nieprzemożoną falą świadomość Janka, ogarnia go, bierze w siebie, całuje, utula i kołysze na słodki, nieprzespany sen:

Śpij Janeczku, śpij kochanie.
Nic ci złego się nie stanie!

I Jankowi uginają się kolana, niby złamany kwiat osuwa się w jakieś puchy śnieżne, mięciutkie, przytulne, jakby matczyną podesłane ręką.

— Mamo, mamo! jak dobrze! Oh! mamo! Idę do Ciebie...

Przez miasto szedł pan. Bogate futro stroiło smukłą postać. Lecz z tym dostatkiem nie harmonizował smutek rozlany na jego twarzy. Podbogatem, strojnem futrem biło biedne, skołatane cierpieniem serce.

Obojętnym wzrokiem wodził pan po iskrzących wystawach, na których jarzyły się przystrojone pięknie choinki, obwieszone różnemi podarkami. Cóż z tego? Nic go to nie obchodziło? Nie miał już komu ofiarować choinki, nie miał już komu złożyć wigilijnych podarków.

Jedyne dziecię — odeszło od niego w pewien bolesny dzień, po długiej chorobie, odeszło tam, gdzie można już tylko sięgnąć myślą i modlitwą.

A w sercu została głęboka rana, której nie mogło uleczyć nawet zapomnienie. Szedł więc powolnym krokiem przez wesołe, dyszące świątecznym nastrojem ulice, szedł bez celu, byle naprzód, byle dalej od domu w którym nikt go nie czekał.

Snuł się zatem od wystawy do wystawy, z ulicy na ulicę, a za nim — jak wierny cień — jego cierpienie. Nagle potknął się i omal nie przewrócił o coś leżącego na drodze... Spojrzał i rozbłysła mu w oczach zgroza. U nóg leżał mały chłopczyna, skulony, półnagi. Na zamorusanym buziaku rozlał się dziwny grymas ni to szczęścia, ni to bólu — grymas śmierci, czającej się na nową ofiarę.

— Boże! Biedne dziecko! Ledwie żywe! Trzeba go ratować — przemknęło błyskawicą przez mózg przechodnia.

W jasnym pokoju na szerokiej otomanie spoczywało, otulone w puszyste pledy małe ciałko. To nasz Janek.

Z trudem go docucono. Pokrzepiony herbatą zapadł w sen. A tymczasem w pokoju wrzało od przygotowań. Wniesiono drzewko, na którem pojawiły się piękne cacka, pierniki, koguciki, żyrandole, kulki i gwiazdy, łańcuchy, paciorki, całe mnóstwo błyskotek, grających tęczą barw wśród śnieżystego puchu. A wśród tego bogactwa ozdób niby pułkownicy pyszniły się świeczki.

Wkrótce choinka stanęła cała w światłach, jak panna w balowej sukni, strojnej cekinami. Rozbłysło, roztęczyło się w pokoju, popłynęła radosna kaskada świateł i barw.

Cicha muzyka zmieszała się z tęczową atmosferą, atakując uszy i oczy uśpionego chłopczyny. Zaczęły mu więc drżeć powieki. Janek się zbudził. Otworzył i zamknął zaraz oczy, by za chwilę uchylić znów powiek!

To nie do wiary! Co się dzieje!

— Mamo! Mamo! Czy to niebiescy anieli ustroili mi taką choinkę!

— Ach, więc się nareszcie obudziłeś! Siedź, nie zrywaj się! — Jak ci na imię chłopcze?

— Czy to św. Piotr — klucznik pyta jak mi na imię?

— Nie! Drogie dziecko! Pozostań na miejscu! A zaraz ci wszystko wyjaśnię.

— Więc ja żyję! — zawołał. — Żyć źle! Boję się, boję! Taki mróz i chleba niema i spać niema gdzie. Boję się — zaszlochał chłopczyna.

Smutny pan podszedł do Janka, usiadł i przytulił go do siebie.

— Mój chłopcze! Nie zawsze musi być źle. Ja jestem przy tobie. Zastąpie ci matkę i nie pozwolę umrzeć z głodu i zimna.

— Czy to prawda? Więc już nie będę spał na kamieniach ulicy? I będę mógł jeść, ile zechcę. Och tak — bym zjadł kiełbasy, tej od rzeźnika z rogu.

— Fe! wstydziłbyś się! łakomczuch jesteś! — właśnie przed wystawą rzeźnika znalazłem ciebie.

— Tak! Ja nie jadłem od wczoraj rana!

Smutny pan już się nie uśmiecha, już nie próbuje żartować, jeno podsuwa chłopczynie kawał chleba z masłem i poi ciepłym rosołem i patrzy z litością na tę wychudłą twarzyczkę, na drapieżne, suche ręce, chciwie chwytające jadło, na płonący w oczach płomień głodu. Janek aż cały się trzęsie, tak łapczywie pochłania jedzenie. Od pracowitego wysiłku szczęk jeży mu się czupryna. Je nie na żarty, za wszystkie czasy, odbija sobie wszystkie niezjedzone śniadania, obiady i kolacje. Je za głodne wczoraj, za głodne dziś i — może — głodne jutro.

— A jutro czy dostanę jeść — pyta się nieśmiało, nieufnie, z lękiem. Bo może to wszystko kawał, kpina, szyderstwo.

— Dostaniesz, dostaniesz! Tylko niech przyjdzie jutro.

— I będzie kiełbaska.

Pan się uśmiecha, kiwa potakująco głową.

Janek przymyka oczy.

— Czemu nie patrzysz, Janku, na Boże drzewko? Czy chce ci się spać?

— Nie! Ale ja oczom nie wierzę!, że to wszystko jest moje.

— Dlaczego?

— Bo za szybami wystaw też wiele można zobaczyć, ale to nie jest moje! I nie wolno brać.

— Tu wszystko na choince jest twoje.

— I mogę wziąć, jak zechcę tego aniłka z wierzchołka?

— Możesz; — mówi smutny pan i patrzy z dziwnem wzruszeniem na tę małą istotę, tak wystraszoną, skrzywdzoną i wydziedziczoną.

— To pan jest bardzo dobry — stwierdza Janek. — Ja pana teraz bardzo lubię i za kiełbasę i za anioła i jeszcze więcej będę lubiał jutro. Pan pozwoli?

— Pozwolę, dziecko, pozwolę! — panu kręcą się łzy. I Janek ma wilgoć w oczach.

Przytulają się do siebie, jakby dwoje rozbitków na wspólnej desce ratujących się z odmętu życia.

Świeczki dogasały.
Oczy były w łzach.
Niebo w gwiazdach.
A serca zatopione w radości.

Mieczysław Jarosławski

POJEDYNEK

Łaskawa Pani!

Jutro, najdalej pojutrze wracam do Heidelberga na zimę. Cieszę się bardzo, że zobaczę znów miłych pensjonarjuszów Pani, a mych kolegów. Myślę, że zastanę wszystkich i wszystko bez zmian. Proszę o gruntowne sprzątnięcie miłego mego pokoju, na co zwracam uwagę naszej złotowłosej Gretchen.

Do miłego zobaczenia!

Z poważaniem

Jan Obrycki.

P. S. Ciekaw jestem, jak się miewa Mitzi i czy po moim przyjeździe znów co wieczór przychodzić będzie do mnie pod pretekstem schwytania tej dokuczliwej a nieuchwytnej myszy?

J. O.

Paryż, dnia 20 czerwca.

Taki list trzymała w trzęsących się, wąskich palcach panna Gertruda Wettstein, właścicielka pensjonatu przy starożytnej, pnącej się stromo w górę, Schlossbergstrasse. Odczytywała go raz, drugi, trzeci...

W pokoju panny Wettstein, nasiąkniętym kurzem, kocim fetorem i duszącym zapachem lewandy okna były zlekka uchylone, a z góry zamkowej, z doliny Nekkaru wsączało się przez gęste, dobrze wycerowane firanki, nasycone wilgocią deszczowe powietrze. Panna Wettstein poprawiała okulary, spadające na czubek zaostrzonego i wilgotnego nosa, zrywała się z fotela, zaścielonego strzępem starego dywanu, znów siadała w nim lekko, jak ptak w gnieździe, bezwiednie poprawiała koralikową patarafkę na obładowanem wszelkim sprzętem pianinie i nie wiedziała — czy ma się cieszyć, czy niepokoić.

Naraz zerwała się, dotarła aż do drzwi, wiodących na korytarz i pisnęła zgrzytliwie:

— Fräulein! Fräulein Else!

Panna Elza była pomocnicą panny Wettstein, która w sześćdziesiątej swej wiośnie nie zdążała już wścibiać nosa we wszystko, zachowując jedynie książki kasowe wyłącznie dla siebie. Z korytarza nikt nie odpowiadał. Panna Wettstein podreptała na pierwsze piętro i tu już bez ceremonji, zaledwie lekko puknąwszy kościstym palcem we drzwi, wpadła do jasnego pokoju z tarasem. Coś się w nim zerwało, coś mignęło... Zresztą panna Wettstein ze względu na wiek swój i stan panieński widziała jedynie rzeczy potrzebne. Tak więc i tu zobaczyła natychmiast wszystko na właściwem miejscu.

Otto Ortmann, znakomity pisarz, siedział na kanapie, panna Elza stała naprzeciwko przed stołem. Ortmann zapalał cygaro, panna Elza bębniła palcami w stół. Tego ruchu panna Wettstein wprawdzie nie lubiła, a chociaż nie znosiła również i dymu cygar, tym razem jednak nie czyniła wymówek, bo coś znacznie ważniejszego miała do załatwienia. Ściskając list w palcach, mówiła już w progu.

— Ach, czy pani wie, panno Elzo, że przyjeżdża nasz doktór Obryky (tak wymawiała trudne polskie nazwisko)?

Rumieńce zgęstniały na ładnej twarzyczce panny Elzy.

— Co pani mówi, panno Wettstein?!

— Tak, tak... Właśnie przyniesiono mi list.

— List?! Czy to możliwe?

— Ależ tak. Obryky pisze z Paryża... Pani rozumie? — z Paryża!

— Z Paryża?!

— Będzie tu jutro, a najdalej pojutrze...

— Ach!

Panna Wettstein rozglądała się bezradnie po pokoju. Ortmann wypuszczał kłęby dymu cygarowego przez ironicznie skrzywione usta. Przymknął przytem jedno oko, i tak zaledwie widoczne przez mocno przełamujące szkło.

— Nie powiem, żeby ta zabawna nowina tak dalece mi była potrzebna do szczęścia, że kochana pani aż fatygowała się tu na górę — wycedził z zimnym grymasem.

Panna Wettstein zatrzęsła bezradnie ramionami. List wypadł jej z ręki.

— Ach, pan nie rozumie tego! Przecież to jest właśnie pokój pana doktora Obryky.

Ortmann nie poruszył się.

— Tego pana? Skoro ja tu mieszkam, skoro ja płacę?

Panna Elza była zmieszana. Bladła i ponsowiała naprzemian.

— Istotnie, skoro pan Ortmann tu mieszka?

— Ach, Fräulein! — niecierpliwie wzruszyła ramionami panna Wettstein. — Nie panna chyba będzie mi tu rządzić?

Ortmann zmienił pozycję nóg i wyjaśnił flegmatycznie:

— Spodziewam się, że w moim pokoju i nie pani, panno Wettstein.

— W pana pokoju? W pana?! Ależ ten pokój należy do pana doktora Obryky już od czterech lat! Zapłacił zgóry i za tę zimę. Pan rozumie, że w moim pensjonacie nie mogę mieć żadnych nieporozumień. Pan musi, pan musi... — nie mogła wyseplenić zmiętoszonemi, żółtemi wargami decydującego słowa.

— Nie ma pani większego zmartwienia, panno Wettstein? Jeżeli pani już tak pragnie uszczęśliwić tego pana, to może mu pani dać inny pokój... Chociaż, mojem zdaniem...

(d. c. n.)

JERZY-MARJUSZ TAYLOR

RYSIE Z LEŚNICZÓWKI

Żona leśniczego, pomagając mężowi zdjąć plecak, zauważyła odrazu, że jest niezwykle ciężki.

— Czy upolowałeś co po drodze? — spytała ze zdziwieniem.

Sama wiedziała, że nie było to pytanie mądre. Na cóż można polować w czerwcu? Wszystko, co żyje w lesie, czy w polu, albo na trzęsawiskach, znajduje się przecież pod ochroną surowego prawa, które dozwala wprawdzie myśliwemu zabijać zwierzę, ale nie w porze, kiedy zajęczyce lub sarny oddają się troskom wychowania młodych.

Leśniczy roześmiał się.

— Zgadłaś, ale nie zupełnie — powiedział wesoło. — To tylko żywa zabawka dla dzieci. A uważajcie — dodał, zwracając się do chłopca i dziewczynki, którzy bez dalszej zachęty rzucili się ochoczo do plecaka. — Uważajcie, bo leśne zabawki mają czasem ostre pazurki, co umieją dobrze drapać.

Ostrzeżenie zrobiło swoje. Dziewczynka odsunęła się przezornie, a chłopiec zachował dużą ostrożność przy rozpinaniu rzemieni plecaka, w którym coś poruszało się niezgrabnie. Było już jasne, że siedziało tam żywe zwierzątko. Ale jakie? Może zajączek, a może mały lisek.

Dziewczynka, patrząc na robotę braciszka, zdążyła wymienić nazwy niemal wszystkich znanych sobie leśnych stworzeń czworonożnych. Nic z tego. Plecak ojca zawierał nielada niespodziankę. Ani można było ją przewidzieć.

Po dłuższej chwili mozolnego rozpinania, rzemienie wydały wreszcie tę tajemnicę. Z fałd niegdyś zielonego, dziś zaś doszczętnie spłowiałego płótna, wyłonił się przedewszystkiem kształtny łebek, zaopatrzony w dwoje uszu, ozdobionych kitkami czarnych włosów. Wślad za nim ukazał się drugi, podobny, patrzący nieufnie wielkiemi zielonawemi oczami i ku nieopisanej radości obojga dzieci dwa prześliczne kociaki zdumiewającej dropiatej maści wygramoliły się ze swego schówka na drewnianą podłogę stołowego pokoju leśniczówki.

Leśniczyna aż załamała ręce na ten widok.

— Też miałeś co przynosić, Janku — powiedziała do męża. — To przecież są żbiki. Czy podobna je oswoić? Sam dobrze wiesz, jakie są drapieżne.

Niezadowolenie kobiety było zupełnie zrozumiałe. Kurnik leśniczówki, stojącej samotnie pośród borów wyniosłego wzgórza podkarpackiego, niejeden raz już ucierpiał wskutek odwiedzin nocnych krwiożerczego żbika. Niejedna piękna kurka, ba! nawet perliczka padła ofiarą pazurów pręgowanego a okrutnego niczem mały tygrys zbójcy leśnego.

— Ależ mamo, przecież to są rysie! — zawołał Adaś. — Już ja się na tem znam.

Ano. Znał się rzeczywiście. W ostatnim numerze pewnego bogato ilustrowanego miesięcznika leśnego, który utorował sobie drogę nawet do tej samotni, odległej o piętnaście kilometrów od najbliższego osiedla ludzkiego, znajdowało się przecież kilka zdjęć rysia z krótkim opisem. Teraz te same zdjęcia, tylko żywe, gramoliły się po podłodze. Adaś więc nie mógł się pomylić.

— Dobrze mówisz, chłopcze — uśmiechnął się leśniczy. — Żbik a ryś to wielka różnica. Ale, ponieważ wiesz o tem, więc tobie oddaję te kociaki pod opiekę. Doglądaj ich. Zobaczysz, że będzie z nich jeszcze pociecha. Chowany ryś lepszy od psa. Nikogo obcego do chaty nie puści.

W taki oto sposób wprowadzono Lili i Puta w środowisko ludzkie. Lili i Put. Marysia uparła się, aby dać te właśnie nazwy wychowańcom brata i tak już zostało, choć przecież każdy wiedział dobrze, że Liliput jest naprawdę jednem słowem, ale i rysie były nierozłączne, więc dziwaczne miana dopasowały się jak niepotrzeba lepiej.

Z oswojeniem nie poszło łatwo. Uwolnione z plecaka rysie leżały nieruchomo, śledząc czujnie każdy ruch otaczających je, zdumiewających dwunogich stworzeń, w których towarzystwie miały odtąd przebywać stale. Tuląc uszki i marszcząc wargi, najeżone szczeciną rzadkich białych wąsów, parskały nienawistnie, gdy próbowano je wziąć na ręce. Były dzikie w całem tego słowa znaczeniu, a zapewne musiały też być głodne.

Któż wie, jaka tragedja zdarzyła się na Czerwonem Bagnie, gdzie znalazł je leśniczy pełzające bezradnie wzdłuż pnia, przed wielu laty powalonego przez burzę, olbrzymiego dębu, w którego dziupli stara rysica z suchych liści i mchu sobie i małym usłała wygodne gniazdo. Ciepło tam było i zacisznie. Małe rysięta miały dosyć pokarmu, gdy zjawiała się matka i wcale nie potrzebowały wychylać się nazewnątrz, gdzie zawsze mogły grozić im przeróżne niebezpieczeństwa. W nocy mogły paść ofiarą kłów chytrego włóczęgi — wilka, lub pazurów bezszelestnie latającej wielkiej sowy. Za nią natomiast wypatrzyłby je niechybnie, krążący ponad grząsawiskiem Czerwonego Bagna siwopióry, pokrzykujący żałośnie jastrząb — powietrzny drapieżca.

Rysica nigdy nie pozwalała swemu zbyt jeszcze drobnemu potomstwu opuszczać bezpiecznej kryjówki. Spacery, początkowo bliższe, a potem dalsze, stanowiły drugi etap wychowania. Pierwsze wycieczki z gniazda mogły się rozpocząć za miesiąc lub za dwa może. To też leśniczy zdziwił się niemało, ujrzawszy cztery słabe, z ubarwienia do kuropatw podobne kocięta, baraszkujące na zielonej runi niedostępnego trzęsawiska, znajdującego się w rozległym wąwozie, u stóp wzgórza, na którego szczycie stała leśniczówka. *(d. c. n.)*

KĄCIK ROZRYWKOWY

(Pod kierownictwem Warsz. Klubu Szaradzistów)

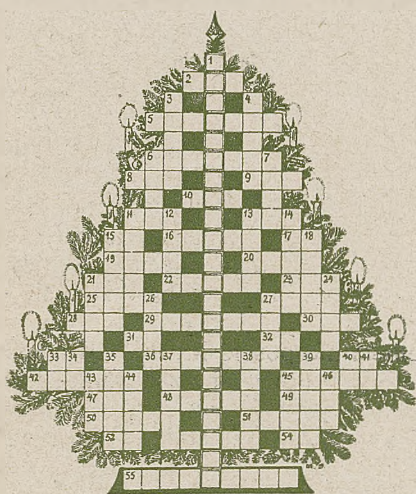
WSZYSTKIM NASZYM PRZYJACIOŁOM, SYMPATYKOM I MIŁOŚNIKOM ROZRYWEK UMYSŁOWYCH PRZESYŁAMY SERDECZNE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE, ORAZ STAROPOLSKIE „DOSIEGO ROKU!".

ZAKOŃCZENIE CZWARTEGO KONKURSU KWARTALNEGO

7. KRZYŻÓWKA ŚWIĄTECZNA

(4 punkty)

W każdą kratkę wpisać literę tak, aby powstały pionowo i poziomo krzyżujące się ze sobą wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Litery w środkowym rzędzie pionowym (oznaczonym ramkami), odczytane z góry na dół, dadzą główne rozwiązanie, mianowicie początkowe słowa jednej z kolęd.



ZNACZENIE WYRAZÓW

Wyrazy pionowe: 1. Główne rozwiązanie. 3. Uczta pierwotnych chrześcjan na pamiątkę Wieczerzy Pańskiej. 4. Rysa (blizna). 6. Inaczej: niegdyś. 7. Korab. 11. Laguny czarnomorskie. 12. Pora dnia. 13. Zwierzę racicowe. 14. Środek komunikacji. 15. Susy. 18. Reszta rachunku w l. mn. 21. Dozorczyni dzieci. 24. Bożek miłości. 26. Wystający brzeg dachu. 27. Izba klasztorna. 33. Namuł. 34. Rzeka we Włoszech. 35. Zadawaj pytanie. 37. Rabat. 38. Czapka wojskowa. 39. Owad dwuskrzydły. 40. Zaimek wskaz. 41. Schowek dla pszczół. 43. Termin szachowy. 44. Ptak domowy. 45. Instrument muzyczny. 46. Oprawca.

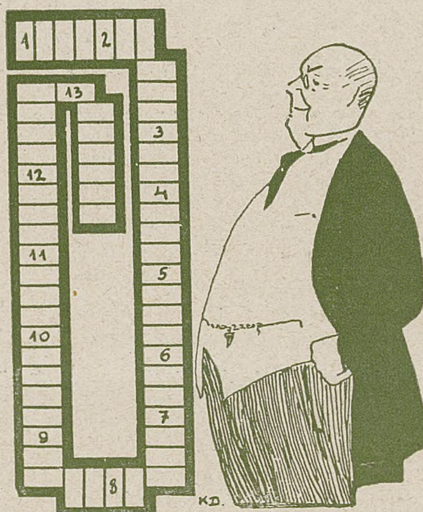
Wyrazy poziome: 2. Część nogi. 5. Gniazdo rodzinne (siedlisko, palenisko). 6. Rodzaj płaszcza bez rękawów. 8. Marzenia. 9. Papuga. 10. Miejsce budowy okrętów. 11. Moneta obca. 13. Zbiorowisko drzew. 15. Tak po włosku. 16. Miejsce zapasów w cyrku. 17. Tuz. 19. Roślina z rodz. baldaszkowych. 20. Wyraz twarzy. 21. Gatunek węża. 22. Okrycie (powłoka, tapeta). 23. Przysłówek (jak dalece). 25. Otwór w murze. 27. Drzewo iglaste. 28. Zaimek (l. mn.). 29. Rodzaj obuwia (l. mn.). 30. Syn Neptuna. 31. Inaczej: posiada. 32. Tom muzyczny. 33. Inicjały polskiego pianisty światowej sławy. 31. Kasjer podatkowy. 40. Inaczej: w miejscu. 42. Tytuł tygodnika warszawskiego (dziecinnego). 45. Mieszkania. 47. Karta świętna. 48. Biesiada (bankiet). 49. Inaczej: chwyta. 50. Rodzaj werandy. 51. Waga drogich kamieni. 52. Zaimek osobowy. 53. Nazwa tańca nowoczesnego. 54. Miara powierzchni. 55. Anioł rzędu wyższego.

M. Sławnicki, czł. Kl. Sz.

8. CIĄGÓWKA

(3 punkty)

W każdej kratce figury wpisać po literze tak, aby powstało 13 wyrazów jednym ciągiem, wedle podanych niżej określeń. Litera końcowa jednego wyrazu jest zarazem początkową drugiego, — i te odczytane za sobą po porządku, dadzą rozwiązanie.



ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Zgraja (tłuszcza).
2. Rzeka w Afryce (dopł. Oceanu Ind.).
3. Przyrząd krawiecki.
4. Beczka na wino.
5. Włóczęga w gwarze.
6. Niegdyś siedziba władz zaporoskich nad Dnieprem.
7. Gra towarzyska.
8. Miłośnik (lubownik).
9. Grządka kwiatowa.
10. Harmonijne brzmienie kilku tonów.
11. Narzędzie do dłubania (rylec).
12. Ujście (ściek) wody.
13. Obronny (obwarowany, zabezpieczający).

K. Denasiewicz, czł. Kl. Sz.

9. SZARADA

(4 punkty)

Kto kocha przyrodę zna jej tajemnicę,
Czci piękno w kąkolu i złotej pszenicy,
Kocha *trzecie - czwarte* zioła, krzewy, kwiaty,
Różę ogrodową i polne bławaty,
Wsłuchuje się w gromy, w huk górskich potoków,
Liczy srebrne gwiazdy w szafirze obłoków.
Cieszy jego oko blask złotych promieni,
Brzęczenie owadów pieści jego ucho,
Szum stuletnich dębów, które gwarzą głucho.
Słucha słodkich trelów skrzydlatych śpiewaków,
Wesołe *dwa - drugie* szczęśliwych dzieciaków.
Pierwsze - drugie grają jak arfa Eola,
Lecą ponad bory, puszcze, łąki, pola.
Bo wszystko w naturze jest piękne, wspaniałe...
Cząstkę tego piękna przynoszą nam *całe*.

H. Mokrzycka, czł. Kl. Sz.

KOMUNIKAT KLUBU SZARADZISTÓW

Z okazji dziesiątej rocznicy istnienia Klubu Szaradzistów w Warszawie wyszedł z druku w pięknej okładce trójbarwnej pamiętnik pod tytułem: „X-lecie Klubu Szaradzistów", na którego treść między innemi składają się: krótka historja Klubu, oraz rozwoju rozrywek umysłowych, uwagi o tworzeniu szarad, rebusów i innych zadań z podaniem wzorów i ilustracyj, serja zadań do rozwiązania z nagrodami, wyciąg główniejszych punktów statutu Klubu i t. p. Pozatem wydano również piękny żeton pamiątkowy. Ceny (kosztów jedynie własnych) wynoszą: za pamiętnik 3 zł., za żeton 4 zł. (o ile z żetonem, także koszta przesyłki poleconej zł. 1.30). Nabywać je można w Klubie Szaradzistów, Warszawa, ul. Miodowa 7, — Konto czekowe P. K. O. Nr. 8975.

M. Sł.

SKRZYNKA POCZTOWA

WPP. H. Mokrzycka i K. Denasiewicz, Drohobycz. — Za nadesłane szarady i zadania rysunkowe pięknie dziękujemy i prosimy o dalszą pamięć.

WP. L. Szalówna, nadleśnictwo Lubień. — Rozwiązanie trafne. Przepisywanie jednak całego zadania jest niepotrzebne, wystarczy podawać tylko rozwiązania. Radzimy próbować sił swoich w rozwiązywaniu dalszych zadań, rozrywki umysłowe bowiem — poza rozrywką samą — są materjałem (zwłaszcza dla młodzieży uczącej się) bardzo pouczającym.

M. Sł.

HUMOR

— Co chciałabyś otrzymać odemnie w dniu twych imienin?

— Nie jestem jeszcze zdecydowana.

— Doskonale. Daję ci rok czasu do namysłu.

*

— Słyszałem, że Riblox umierając wszystko co miał zapisał zakładowi dla sierot.

— To ładnie z jego strony. A czy dużo zostawił?

— Siedmioro dzieci.

Redaktor: LEONARD CHOCIŁOWSKI Wydawca: ZWIĄZEK ZAWODOWY LEŚNIKÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Cena niniejszego numeru w Warszawie i na prowincji 1 zł 40 gr.
Żądać we wszystkich kioskach miejskich i kolejowych T-wa „Ruch”.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY ŚWIAT 36, TEL. 230-75

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.